

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Kacper Tomasiak ma srebro. A Beskidy pękają z dumy: Ten chłopak to złoto
 - „Inna” w „The Voice Senior” ● „Ołowiane dzieci” ● Minister Balczun o spółkach Skarbu Państwa
- PLUS** TELEMAGAZYN z programem TV i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu



Express BYDGOSKI

Piątek
13.02.2026

Nr 36 (11224)
Rok XXXVII

www.expressbydgoski.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



Bydgoska policja zna problem z najemcą w kamienicy w centrum miasta **str. 5**

Zbieractwo bywa objawem choroby lub już nią samą **str. 8**

Nr ISSN 1230-9192

Nr indeksu 350680



Piętnaście lat i wystarczy!



Anna Rembowicz-Dziekiowska rezygnuje z szefowania Miejskiej Pracowni Urbanistycznej. Rozmawiamy o tym, jak w tym czasie zmieniła się Bydgoszcz - **str. 10-11**

Nie będzie procesu, dotyczącego śmierci na Rycerskiej **str. 6**

Rada Osiedla Siernieczek zabiera głos w sprawie odorów z kompostowni **str. 6**

Będzie można sprawdzić wyniki szkół nauki jazdy, a nawet poszczególnych instruktorów **str. 4**

REKLAMA

0011472128

DO GŁOSÓW GOTOWI START!

Kup dowolny produkt LOTTO, weź udział w loterii **Gdy grasz, wszystko gra!** i zagłosuj na obiekty sportowe lub kulturalne w Twojej okolicy.



GŁOSUJ NA WWW.GDYGRASZ.PL



VIP LUNCH (dla 2 osób)
z Robertem
Lewandowskim



VIP LUNCH (dla 2 osób)
z Marcinem
Gortatem



102 x
e-karta
podarunkowa
Decathlon 400 zł



34 x
czytnik e-booków inkBOOK
Solaris + voucher Legimi



34 x
smartwatch
Garmin Instinct® 3 Solar

18+



Szczegóły i regulamin na www.gdygrasz.pl. Okres sprzedaży produktów promocyjnych uprawniających do udziału w loterii trwa od 26 stycznia do 26 lutego 2026 r. Udział w loterii poprzez głosowanie na wybrany obiekt sportowy lub kulturalny możliwy jest od 26 stycznia do 28 lutego 2026 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl



TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

SOBOTA

● Maciej Maleńczuk
zaczynał od grania na ulicach

PONIEDZIAŁEK

● Sportowe wydarzenia,
wyniki i tabele z weekendu

WTOREK

● Strefa biznesu - analizy i in-
formacje gospodarcze

ŚRODA

● Czym są zespoły
paranowotworowe?

CZWARTEK

● Tragiczny rejs kutra trało-
wego Marynarki Wojennej

PIĄTEK

● Ciężarne kontra ZUS.
W sądzie wygrały

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

Janusz Michalczyk

WALENTY
I MITY MIŁOSNE

Kocham Cię warto powiedzieć też sobie - zakomunikowałam na tablicach reklamowych jedna z większych u nas sieci handlowych. Spece od marketingu podali nawet uzasadnienie - na 13 lutego przypada „dzień kochania siebie”. Rzecz jasna termin ten ma ścisły związek z wymyślonym dawno temu konsumpcyjnym szaleństwem w dniu świętego Walentego. Krótko mówiąc, jak już się rozkochacie w sobie, to nazajutrz możecie obdarować uczuciem kogoś ze swojego otoczenia. I proszę się nie pomylić - dzień po walentynkach to dla miłości własnej byłaby musztarda po obiedzie.

W marketingu pracują inteligentni ludzie. Uznali, że skoro w społeczeństwie szybko przybywa singli to aluzje do miłosnych uniesień we dwoje tracą siłę perswazji przy naganianiu klientów do sklepów. Ponieważ jednak miłość to nadal mocne zaklęcie, nie warto z niej zupełnie rezygnować. I mamy nową wersję przykazania: kochaj siebie jak bliźniego. Ktoś mógłby słusznie zapytać: kto zabrania singlowi być zakochanym w innej osobie poza sobą? Jasne, nikt. Pamiętajcie jednak, że częściej zakochujemy się nieszczęśliwie, czyli bez wzajemności. Jedną z terapii bywa kupowanie sobie czegoś po spadku i znów handlowcy są górą. Ich pomysłowość jest zresztą niewyczerpana. W radiu usłyszałem, że dzięki nowej bieliźnie znów zakocham się w sobie. Parę lat temu zaskoczył mnie na ulicy billboard z pytaniem: czy ty także kochasz swoje mieszkanie?

Niektórzy psychologowie ubolewają, że na naszych oczach upada mit miłości romantycznej, młodzi stają się zbyt wygodni i samolubni, wybierają partnerów w internecie niczym z katalogu i długo wydaje się im, że mają jakieś lepsze opcje. Od pewnego czasu socjologowie wskazują na rozjeżdżanie się oczekiwań młodych kobiet i mężczyzn, na powiększającą się nierównowagę, bo ambitniejsze dziewczyny nie chcą się wiązać z gorzej wykształconymi i biedniejszymi chłopakami. Coś jest na rzeczy, lecz intuicja podpowiada mi, że nie warto brać za dobrą monetę przestroż o nadchodzącej erze samotności. Jestem raczej skłonny zaufać tym, którzy są przekonani o niezwykłej elastyczności gatunku ludzkiego i jego zdolności do adaptacji. Życie to fenomen. Człowiek to zagadka. Miłość może czyhać na nas za rogiem. ©©

POGODA W BYDGOSZCZY

Piątek

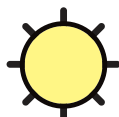
3°C
-2°C

Wiatr
płd.-zach., 25 km/h
Ciśnienie
985 hPa
Biomat
niekorzystny

Sobota

0°C
-2°C

Niedziela

-3°C
-7°C

Imieniny obchodzą dziś: Grzegorz i Katarzyna

KRONIKA BYDGOSKA

Biała dama bydgoskiego ratusza odchodzi

Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

„Planowanie rozwoju miasta to praca długodystansowa i żmudna. Chwała tym, którzy chcą to wyjaśniać, biorąc razy za wszystkich na siebie”.

Nie bez powodu powyższy wstęp jest ujęty w cudzysłów. Jest to bowiem cytata z Kroniki bydgoskiej ze stycznia 2023 roku, którą praktycznie w całości poświęciłam pracy Anny Rembowicz - Dziekciowskiej, dyrektorki Miejskiej Pracowni Urbanistycznej. Składając w zasadzie hołd jej niełatwej działalności na rzecz Bydgoszczy, a ściślej rzecz biorąc, sposobowi, w jaki miastu służy. Dla szeregowego Bydgoszczanina może to być nawet postać anonimowa. Według Wikipedii, urbanista to osoba „zawodowo zajmująca się tematyką (problematyką) planowania miast i ulepszania przestrzeni miejskich, a co za tym idzie, także podnoszenia jakości życia w przestrzeniach zurbanizowanych”. Sęk w tym, że nie wszyscy jednak postrzegamy standardy tej jakości na terenach miejskich. Inaczej widzą to deweloperzy i generalnie inwestorzy, inaczej urzędnicy, jeszcze w inny sposób społecznicy reprezentujący jakąś grupę mieszkańców. Dalej z de-



FOT. ARCHIWUM PRG/T. CZACHOROWSKI

Dyrektor Rembowicz - Dziekciowska na tle mapy Bydgoszczy

finicji Wikipedii wynika, że „specyfika tego zawodu wymaga szerokiej, interdyscyplinarnej wiedzy oraz umiejętności interpersonalnych (mediator, propagator, edukator)”. I tu właśnie doceniałam wyjątkowość szynytu pracy dyr. Rembowicz. Pisałam, że „mój podziw budzi konsekwencja, z jaką Pani Dyrektor prowadzi w mediach społecznościowych pracę u podstaw. Najpierw idą systematyczne publikacje prezentujące uwarunkowania planów rozwojowych miasta i szczegóły ich realizacji. Już na tym poziomie oznacza to często wystawienie się na krytykę. Obserwuję, jak cierpliwie Pani Dyrektor bierze ją na klatę, nie tracąc

z pola widzenia metodycznego tłumaczenia zasad i podwalin (np. tego, jaka jest różnica między urbanistami a działającymi na zlecenie deweloperów projektantami)”...

Mam ten przywilej, że przez 35 lat przyglądałam się zawodowo życiu miasta i miałam okazję obserwować burzliwe „dzieje” pracy Anny Rembowicz - Dziekciowskiej w ratuszu. Nie można tu nie wspomnieć choćby o tym, jak z powodów pozazawodowych za czasów prezydenta Dombrowicza straciła (wraz z innymi dyrektorami wydziałów) pracę w 2002 roku i jak - mimo zaklęć, że tego nie robi - wróciła na Grudziądzką. Obserwowałam wiele batalii (także sądowych) o poszczególne rozwiązania, tę cierpliwą edukację w mediach społecznościowych, niełatwe współistnienie z różnymi „czynnikiemami społecznymi”. Słyszałam o gorących sporach wewnątrz ratusza. Czytałam krytyczne opinie i wątpliwości adwersarzy. Ale też, jak większość bydgoszczan, którzy

Nie można nie wspomnieć, jak z powodów pozazawodowych za czasów prezydenta Dombrowicza w 2002 roku straciła pracę.

być może nie znają Pani Dyrektora z nazwiska, widzę efekty zmian w Bydgoszczy. Wyczekiwane przez dziesięciolecia w tkance Starego Miasta i Śródmieścia, rewitalizację Starego Fordonu, starania o uporządkowanie terenów wokół Brdy i wiele innych. Śledzę i widzę też niepowodzenia, ale to już temat na inną bajkę.

Pani Dyrektor odchodzi z pracy w ratuszu 25 lutego. Jej następca będzie miał trudne zadanie wynikające nie tylko z konieczności dotrzymania standardów niełatwego zadania zawodowego (patrz definicja wyżej), presji wynikającej ze skali przedsięwzięcia (koordynacja na poziomie miasta) i odpowiedzialności za nie, ale też ocenę porównania do charakterny i dokonań poprzedniczki. Kierunku jej pracy i jej wyborów, wszak decyzje nowego szefa urbanistyki długo-falowo odczujemy wszyscy.

Traf chciał, że tuż przed napisaniem tego felietonu mijałam z oddali Panią Dyrektora na ulicy (charakterystycznego białego image'u nie sposób przeoczyć:)). Potraktowałam to jako symboliczne pożegnanie zawodowe, z dużą nadzieją i pewnością, iż gdziekolwiek podejmie się teraz nowych zadań, będzie je ciągle wykonywać odważnie i wizjonersko. Wszystkiego dobrego! ©©

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM”



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Irena Kwiatkowska. Była prawdziwym tytanem pracy. Zagrała ponad sto ról teatralnych, stworzyła niezapomniane kreacje w kabarecie Dudek i Kabarecie Starszych Panów. W pamięci widzów za-

piślała się jako kobieta pracująca, która żadnej pracy się nie boi. Mało kto wie, ale Irena Kwiatkowska była żoną Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, który pisał dla niej teksty podczas krakowskich występów aktorki w kabarecie „Siedem Kotów”.

Ponadto:

- W ortopedii dziecięcej czas i precyzja mają kluczowe znaczenie.
- Nowe zasady kasowania i redukcji punktów karnych.
- Tradycja świętowania walentynki sięga średniowiecza.



FOT. ROBERT PAKA/NETFLIX

Joanna Kulig, aktorka, odtwórczyni głównej roli dr Jolanty Wadowskiej-Król w serialu „Ołowiane dzieci”

”

Doktor Wadowska-Król została doceniona dopiero pod koniec swego życia. Za sprawą naszego serialu wiele osób dowie się o jej niezłomnej postawie

Puls, 21

Do 100 tys. zł na rozwój młodych sportowców. Ruszył nabór do 2. edycji Sportowego ORLENU



W całej Polsce ruszył nabór do 2. edycji programu **Sportowy ORLEN**, który ponownie ma wesprzeć lokalne kluby pracujące z dziećmi i młodzieżą. Program ma na celu zwiększać dostęp najmłodszych do zajęć sportowych, rozwijać ich talenty i wzmacniać więzi w lokalnych społecznościach. Kluby mogą liczyć na wsparcie nawet do **100 tysięcy złotych**.

W tegorocznej edycji łączny budżet wynosi **12 mln zł**. Do programu mogą zgłaszać się m.in. fundacje, stowarzyszenia, kluby sportowe (w tym te uczniowskie i samorządowe), ogrody jordanowskie czy międzyszkolne ośrodki sportowe. Najważniejsze, by pro-

wadziły regularne zajęcia sportowe dla dzieci i młodzieży.

Tak jak w poprzedniej edycji z programu wyłączona została piłka nożna i jej odmiany, choć kluby wielosekcyjne nadal mogą startować w naborze - środki mogą jednak trafić wyłącznie na pozostałe sekcje sportowe.

Celem programu jest przede wszystkim zwiększenie dostępności zajęć dla dzieci i młodzieży. Środki można więc przeznaczyć na prowadzenie treningów, organizację wydarzeń sportowych, zakup sprzętu, także takiego, który umożliwia uczestnictwo osobom z niepełnosprawnościami, oraz na szkolenia trenerów czy działania

informacyjne i promocyjne. Czas na realizację działań obejmuje pełny rok: od **1 września 2026 do 31 sierpnia 2027 roku**.

Sportowy ORLEN to nie tylko wsparcie finansowe, ale także inwestycja w rozwój społeczny. Program ma promować zasady *fair play*, odpowiedzialność i wrażliwość na innych, a jednocześnie pomagać młodym ludziom budować pewność siebie i poczucie własnej wartości. To również szansa na rozwój w miejscach, w których lokalna infrastruktura sportowa często jest ograniczona, a możliwości – mimo dużego zaangażowania – niewystarczające.

Nabór do drugiej edycji potrwa do **6 marca 2026 roku**. Po zakończeniu przyjmowania wniosków rozpocznie się ich weryfikacja, a lista beneficjentów zostanie ogłoszona do **30 czerwca 2026 r.** Zajęcia realizowane w ramach programu wystartują od początku września.

Sportowy ORLEN działa pod honorowymi patronatami Ministerstwa Sportu i Turystyki oraz Ministra Edukacji. Organizatorem programu jest ORLEN i Fundacja ORLEN. Szczegółowe informacje oraz dokumenty do pobrania znajdują się na stronie www.sportowyorlen.pl.



Wyjmujcie kalosze! Przed nami wielka chlapa

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Dwa tygodnie dynamicznie zmieniającej się pogody zapowiada meteorolog z Bydgoszczy. Będą duże skoki ciśnienia atmosferycznego i deszcz, który przyczyni się do powstawania śniegowego błota.

- Na razie skończył się okres mroźnej, najczęściej suchej i jednocześnie pogodnej aury - mówi Bogdan Bąk, meteorolog z Bydgoszczy.

I zapowiada dwa tygodnie zmiennej pogody, z opadami śniegu i deszczu.

- Temperatura będzie przekraczać 0 stopni Celsjusza i jednocześnie pojawią się opady śniegu przechodzącego w deszcz ze śniegiem, a lokalnie może padać sam deszcz - podaje bydgoski prognosta.

Dlatego znowu pogorszą się warunki na chodnikach i na drogach. - Z piątku na sobotę słupek rtęci ponownie obniży się poniżej 0 stopni C i mokre powierzchnie zaczną zamarzać - ostrzega Bogdan Bąk.

Lekki mróz w ciągu dnia utrzyma się do poniedziałku, natomiast noce będą coraz bardziej zimne. Z niedzieli na poniedziałek temperatura lokalnie spadnie do -10 stopni C, ale od wtorku już zupełna odwilż. Temperatura w ciągu dnia będzie tylko dodatnia, a w nocy niewielki mróz.

- Pojawiają się też opady deszczu, które przyspieszą proces topienia pokrywy śnieżnej, zwłaszcza na otwartych terenach. Prognoza przewiduje



FOT. JANUSZ WOJCIWICZ

- Ze względu na topniejący śnieg i tzw. błoto pośniegowe, warto zastanowić się nad zmianą obuwia i wyciągnąć ze schowków kalosze - radzi meteorolog z Bydgoszczy

w sumie 10-15 mm opadów w zachodniej i centralnej części województwa oraz 20-25 mm na wschód od Wisły - uściśla Bogdan Bąk i radzi: - Ze względu na topniejący śnieg i tzw. błoto pośniegowe, warto zastanowić się nad zmianą obuwia i wyciągnąć ze schowków kalosze.

Okres odwilży będzie jednocześnie czasem szybkich i znacznych zmian ciśnienia.

- Będzie się ono zmieniać od niskiego (982 hPa) do wysokiego (około 1030 hPa). W ciągu tygodnia wzrośnie ono o prawie 45 hPa! - ostrzega meteorolog.

W tych dniach meteopaci mogą odczuwać dyskomfort: bóle głowy i problemy z koncentracją. ©©

Będzie można sprawdzić wyniki szkół nauki jazdy

Maciej Czerniak
maciej.czenirka@polskapress.pl

W połowie roku ma być dostępna nowe elektroniczna usługa. Będzie można sprawdzić, które szkoły jazdy mają najlepszą zdawalność i jakie kwalifikacje posiadają instruktorzy.

W ostatnich tygodniach pojawiły się w przestrzeni publicznej informacje, jakoby Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych przygotowywała projekt umożliwiający zapoznanie się ze statystykami zdawalności u poszczególnych egzaminatorów Wojewódzkich Ośrodków Ruchu Drogowego.

Jak się okazuje, to nie do końca prawda. Innowacja, faktycznie jest przygotowywana, ale nie dotyczy WORD-ów, ani tamtejszych egzaminatorów, tylko szkół jazdy.

- Zaczęły krążyć informacje, w których mieszane są dwie odrębne rzeczy - słyszymy w PWPW.

Od początku jednak. Spółka akcyjna PWPW jest wykonawcą i dostarczycielem rozwiązania, tak zwanej e-usługi, która właśnie powstaje przy wsparciu rządowego Centrum Projektów Polska Cyfrowa. Zadanie jest finansowane z Krajowego Planu odbudowy, łączny koszt to 3,6 mln zł. Z tego 1,6 mln idzie na realizację usługi pozwalającej, m.in. zapisać się na egzamin państwowy na prawo jazdy, za-



FOT. GRZEGORZ MEHRING/ILUSTRACYNE

Powstaje nowa baza danych, z której będą mogły korzystać osoby ubiegające się o prawo jazdy

płacić za niego online i śledzić status swojej sprawy.

Druga część dotyczy tego, co może w równym, a może nawet większym stopniu interesować przyszłych kursantów, którzy chcą zdobyć uprawnienia komunikacyjne. Projekt wart 2 mln zł nosi nazwę „Sprawdź ośrodek nauki jazdy i instruktora”.

- Umożliwi on obywatelowi samodzielną weryfikację rezultatów osiąganych przez poszczególne Ośrodki Szkolenia Kierowców (OSK) i Instruktorów nauki jazdy. Dostępna będzie informacja o statusie OSK

i średniej zdawalności egzaminów - informuje PWPW. Informacje te mają być przekazywane do systemu przez starostów.

Projekt, a w nim bazy danych z nazwami szkół jazdy w Polsce i wyników, jakie osiągają kursanci, ma być gotowy i udostępniony publicznie w czerwcu 2026 roku.

Jak informuje portal brd24.pl zdawalność egzaminu na prawo jazdy w Polsce wynosi średnio około 30 proc. Dla przykładu, w Niemczech ten współczynnik osiąga około 70 proc. Na mapie naszego

kraju są jednak takie Wojewódzkie Ośrodki Ruchu Drogowego, gdzie średnia znacznie odbiega od normy. Również brd24.pl informował swego czasu o egzaminatorze z Ciechanowa, u którego oblało 97 proc. kursantów.

Jeśli chodzi o bydgoski WORD, statystyki dotyczące zdawalności są nieco ponad średnią krajową. W styczniu tego roku egzamin na prawo jazdy za pierwszym razem zdało 33,08 proc. kursantów.

A gdyby upubliczniono dane o zdawalności w poszczególnych WORD-ach? Czy takie posunięcie nie wpłynęłoby na szerzenie się zjawiska, tzw. turystyki egzaminacyjnej?

- Trudno powiedzieć - mówi Andrzej Gross, dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego w Bydgoszczy. - To nie jest do końca tak, że kursanci przyjeżdżaliby do ośrodka, gdzie zdawalność jest statystycznie wyższa, bo to tylko jedna strona medalu. Inną rzeczą jest, że nawet w szkołach jazdy instruktorzy zwykle wiedzą, mniej więcej, które miejsca ich uczniowie będą odwiedzali, prowadząc samochód w czasie egzaminu na prawo jazdy. Starają się zatem prowadzić zajęcia na znanych trasach w mieście. A kursant, który pojechałby do innego miasta na egzamin, nie miałby takiej wiedzy o jego topografii. Inną rzeczą to specyfika natężenia ruchu. ©©

Czekali kredytobiorcy, banki i prawnicy. WIBOR obronił się w Luksemburgu

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka@polskapress.pl

12 lutego Trybunał Sprawiedliwości UE wydał wyrok w sprawie dotyczącej stosowania wskaźnika WIBOR w umowach kredytów hipotecznych. Czerwone światło dla kancelarii prawnych?

Oczywiście, chodzi o kredyty złotówkowe ze zmienną stopą procentową.

Trybunał nie podzielił zarzutów podważających wiarygodność i rynekowość WIBOR-u. Argumentacja kredytobiorców o obowiązku przekazywania specjalistycznych informacji o zasadach wyznaczania wskaźnika nie została uwzględniona w Luksemburgu. Bank nie musi szczegółowo informować kredytobiorcy na temat metodologii obliczania zmiennej stopy procentowej. Banki na decyzji

TSUE wyszły lepiej niż klienci i kancelarie prawne.

- Wyrok TSUE wyraźnie potwierdził legalność i prawidłowość funkcjonowania WIBOR-u - komentował po jego ogłoszeniu dr Tadeusz Białek, prezes Związku Banków Polskich. - Wyraźnie zaznaczono, że nie podstaw do podważania tego wskaźnika, bo jest uregulowany prawem unijnym. Sądy cywilne nie mogą go ani badać, ani podważać. Banki prawidłowo realizują obowiązki informacyjne. Żadne przepisy prawa unijnego nie zobowiązują banków, aby szczegółowo informowały o zasadach wyznaczania wskaźnika. Są to informacje zbyt szczegółowe i niepotrzebne konsumentowi.

Prezes ZBP powiedział, że wyrok TSUE to potężny cios w biznes kancelarii prawnych: - To jak zabranie tlenku dla postępowań, w zasadzie czerwone światło dla tzn. prób

unieważnienia kredytów hipotecznych opartych o WIBOR.

„TSUE uznał, że sądy w sprawach konsumenckich nie mogą badać prawidłowości wyznaczania WIBOR-u. Zezwolenie im na weryfikację metody ustalania kluczowych

wskaźników referencyjnych w drodze oceny nieuczciwego charakteru warunku umownego, podważyłoby szczególnie system zarządzania kluczowymi wskaźnikami referencyjnymi ustanowionymi przez prawodawcę Unii na mocy roz-



FOT. ARCHIWUM/POLSKA PRESS

W Polsce zapadło ponad 150 prawomocnych wyroków dotyczących WIBOR-u i wszystkie są korzystne dla banków

porządzenia BMR” - czytamy w komentarzu przesłanym do naszej redakcji przez ZBP. „Banki powinny przekazać informacje o nazwie, administratorze i skutkach wzrostu wskaźnika na oprocentowanie kredytu, co było przez nie realizowane. Wymóg przejrzystości przewidziany w dyrektywie 93/13 nie zobowiązuje kredytodawcy do bezpośredniego przekazywania bardziej szczegółowych informacji na temat metody wyznaczania wskaźnika referencyjnego niż wymagane na podstawie rozporządzenia BMR”.

- Wyrok TSUE stanowi ważny punkt odniesienia dla sądów. Nie będzie rewolucji w sprawach o WIBOR - ocenia Anna Cudna-Wagner, radca prawny z kancelarii CMS Cameron McKenna, która razem z Wspólnicy, reprezentuje PKO Bank Polski przed TSUE.

Wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE nie oznacza automatycznej nieważności kredytów opartych na WIBOR ani masowego podważania umów” - uważa cytowana przez PAP mecenas Karolina Pilawska. Jej zdaniem orzeczenie potwierdza, że mechanizm zmiennego oprocentowania nie jest wyłączone spod kontroli konsumentkiej.

W ocenie reprezentującej konsumentów w sporach z bankami mecenas Karoliny Pilawskiej, wyrok wyznacza ramy dalszych sporów między kredytobiorcami a bankami. Jej zdaniem Trybunał potwierdził, że unijna dyrektywa w sprawie nieuczciwych warunków w umowach konsumenckich ma zastosowanie do klauzul zmiennego oprocentowania opartych na wskaźniku referencyjnym, nawet jeżeli wskaźnik ten funkcjonuje w ramach unijnego rozporządzenia BMR. ©©

Bydgoszcz

Nowe punkty świetlne.
Inwestycja warta 200 milionów
złotych ma się zwrócić w 10 lat

Marcin Kozłowski
marcin.kozlowski@polskapress.pl

W mieście trwa wymiana ulicznego oświetlenia, która ma ograniczyć zużycie energii, a co za tym idzie obniżyć rachunki za prąd. W 2026 roku w wielu dzielnicach ruszą prace związane z budową nowych punktów świetlnych.

Bydgoszcz jest największym w regionie beneficjentem środków z Krajowego Planu Odbudowy - chwali się ratusz. Dzięki pozyskanym funduszom miasto realizuje m.in. właśnie kompleksową wymianę ulicznego oświetlenia. Środki na ten cel pochodzą z instrumentu ELENA przygotowanego przez Europejski Bank Inwestycyjny, a współfinansowanego przez program Unii Europejskiej Horyzont 2020 (zapewnia 90-procentowe dofinansowanie prac projektowych) oraz z europejskiej preferencyjnej pożyczki z Krajowego Planu Odbudowy na wykonanie prac w terenie.

Wartość inwestycji - prowadzonej przez Zarząd Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej w Bydgoszczy - szacowana jest na ponad 200 milionów złotych. Umowy na przygotowanie dokumentacji podpisane zostały w 2025 roku, a zakończenie prac nad projektami planowane jest w połowie bieżącego roku. Później - jeszcze w 2026 roku - na wielu ulicach Bydgoszczy ruszą roboty związane z budową nowych latarni oraz układaniem niezbędnych przewodów i instalacją nowoczesnych urządzeń sterujących oświetleniem.

Setki kilometrów linii i tysiące nowych punktów

W całym mieście ma powstać około 11 tysięcy nowych punktów świetlnych LED (kable, szafy, słupy, oprawy) w miejscu istniejącego oświetlenia będącego własnością Enei. Konieczna będzie również budowa 387 kilometrów nowych linii zasilających i budowa ok. 20 nowych punktów zasilania z inteligentnym systemem sterowania, który umożliwi redukcję mocy opraw w godzinach nocnych co przyniesie dodatkowe oszczędności.

Przed realizacją zadania ratusz zlecił szczegółowy audyt energetyczny, który zakłada redukcję kosztów zakupu energii o 68 procent. Miesięczny koszt utrzymania nowego punktu świetlnego będącego własnością miasta wynosi 100,47 zł, zaś starego należącego do Enei Oświetlenie 306,24 zł. Powstająca infrastruktura zostanie objęta ponadto 10-letnią gwarancją wykonawcy, zatem Bydgoszcz nie będzie ponosiła dodatkowych kosztów związanych z ewentualnymi naprawami urządzeń.

Oszczędności mają iść w miliony

Ratusz szacuje, że łączna oszczędność na każdym likwidowanym punkcie świetlnym Enei i zastąpieniu go miejskim oświetleniem LED przyniesie w skali roku 676,30 zł. Biorąc pod uwagę fakt, że zmodernizowanych zostanie około 11 000 takich miejsc roczne oszczędności sięgać będą 7,7 mln zł. To z kolei oznacza, że po około 9-10 latach inwestycja całkowicie się zwróci. ©



W Bydgoszczy trwa wielka wymiana ulicznego oświetlenia. Powstać ma około 11 tysięcy nowych punktów świetlnych LED, które zastąpią stare latarnie

Kłopoty z najemcą w kamienicy w centrum. Policja zna problem

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Choć ma zakaz zbliżania się do poszkodowanej na mniej niż 20 metrów, nadal mieszka z nią w jednej kamienicy. Dzieli ich piętro. Najemcy nie są załamane i szukają pomocy.

Policja potwierdza, że problem w kamienicy przy ulicy Czartoryskiego w Bydgoszczy, o którym informowaliśmy, jest im znany.

- Szczegółów czynności, jakie były w tej sprawie podejmowane, nie przekazujemy, bo chodzi o konkretne osoby - mówi sierż. szt. Jakub Skrzypek z zespołu komunikacji społecznej Komendy Miejskiej Policji w Bydgoszczy.

Z relacji mieszkanki wynika, że w mieszkaniu w prywatnej kamienicy z lokalami na wynajem regularnie dochodzi do popijaw, zakłócania spokoju i hałasów.

- Kiedy robią imprezę, zaczyna się rotacja ludzi wchodzących i wychodzących z tego ich mieszkania - słyszymy. Pielgrzymki przygodnych imprezowiczów odwiedzają nasza kamienicę.

Do pewnego momentu „imprezowy” styl życia jednego z sąsiadów stanowił tylko pewien koloryt, ale mieszkańcy wzajemnie się tolerowali. Wszystko zmieniło się w nocy z 30 na 31 stycznia.



Problem dotyczy awanturującego się mężczyzny, mieszkańca domu w sercu miasta

- Około godziny pierwszej w nocy pies czekał nam pod oknem. Okazało się, że jakaś kobieta z czworonogiem kręci się na ulicy przy wejściu - słyszymy od jednej z lokatorek. - Pewnie przyszła do naszego sąsiada. Mój pies zaczął szczekać, więc wyszłam i zapytałam, czego chce. Usłyszałam, że to „jej ulica”, że „ona tu mieszka” i wyzwala mnie wulgarnie. Była pod wpływem alkoholu albo narkotyków.

Sąsiad zszedł na dół i wtedy doszło do eskalacji. Od słowa do słowa. Lokatorka, która pytała kobietę z psem, co ta robi przed wejściem do kamienicy, użyła gazu pieprzowego prze-

ciw sąsiadowi, kiedy zbiegał po schodach w jej kierunku i - jak przekonuje - chciał ją zaatakować.

Kobiety wezwały na miejsce policję. Jak się dowiadujemy, patrol tej samej nocy pojawił się w budynku, ale sąsiad - który, jak opisują najemczynie, miał zachowywać się agresywnie - nie został zatrzymany. W ręce mundurowych wpadł za to jego brat, który - jak się okazało - był poszukiwany przez wymiar sprawiedliwości do odbicia kary za kratami.

Od tego momentu sytuacja zaczęła eskalować. Policja w końcu przyjechała ponownie i mężczyzna został zatrzymany.

Wrócił do kamienicy po dobie na policyjnym „dołku” i z prokuratorskim zakazem zbliżania się do sąsiadki. Dodatkowo Tomasz L. ma zakaz kontaktowania się z tą samą kobietą.

- To naprawdę jednak nic nie zmienia - słyszymy od jednej z nich. - On wciąż tu przecież przebywa, czuje się bezkarny i uniemożliwia nam normalne życie.

Sąsiad, o którym mowa, twierdzi, że problemu z jego strony nie ma.

- Zostałem zawinięty przez policję - przyznaje jednak. Na pytanie, dlaczego, odpowiada: - Bo dostałem gazem pieprzowym i strzelała do mnie z wiatrówki.

Mężczyzna wyjaśnia, że rzekomo został postrzelony z pistoletu pneumatycznego. Wcześniej najemczynie, z którą rozmawiamy, sama przyznała się, że w związku z sytuacją w kamienicy, jest zmuszona nosić przy sobie gaz i pistolet gazowy. - Takie życie nie jest normalne - mówi.

Biuro administratora nieruchomości mieści się w tej samej kamienicy. Na miejscu nie ma jednak nikogo. Nikt też nie odbiera pod żadnym z dwóch numerów widniejących na szyldzie.

Czekamy na odpowiedź ze strony zarządcy na prośbę o rozmowę wysłaną SMS-em. Czekamy też na informację od policji na temat interwencji tu podejmowanych. ©

Nowoczesne laboratorium DRONLAB w I BLOG

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

W 1. Pomorskiej Brygadzie Logistycznej im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy uruchomiono laboratorium DRONLAB - nowoczesne zaplecze techniczno-szkoleniowe, w którym realizowany jest pełny cykl życia wojskowych systemów bezzałogowych.

Obejmuje on projektowanie i modyfikację komponentów, montaż kompletnych platform BSP, a także szybkie naprawy i odtwarzanie zdolności operacyjnych z wykorzystaniem technologii przystosowanej, w tym druku 3D.

Placówka pełni również funkcję ośrodka szkoleniowego, w którym żołnierze-logistycy rozwijają kompetencje w zakresie pilotowania, obsługi technicznej oraz eksplo-



Placówka pełni również funkcję ośrodka szkoleniowego w zakresie pilotowania oraz eksploatacji bezzałogowców

atacji bezzałogowców. Szkolenia obejmują także reagowanie na uszkodzenia i awarie w warunkach zbliżonych do realiów pola walki, co bezpośrednio wzmacnia gotowość operacyjną Sił Zbrojnych RP.

W otwarciu laboratorium uczestniczył Szef Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych, gen. dyw. Dariusz Mendrala.

- W tym miejscu i zespole ludzi, którzy łączą wiedzę, doświadczenie i pasję do nowych technologii, widzę ogromny potencjał. Życzę powodzenia i sukcesów w tworzeniu nowatorskich rozwiązań, które będą realnym wzmocnieniem zdolności Sił Zbrojnych RP - podkreślił Szef Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych, gen. dyw. Dariusz Mendrala.

DRONLAB wpisuje się w pilotażowy program wytwarzania dronów z wykorzystaniem technologii druku 3D w Siłach Zbrojnych RP, uruchomiony decyzją Ministra Obrony Narodowej.

Jego celem jest budowa zdolności do szybkiego, efektywnego kosztowo i zdecentralizowanego wytwarzania, modyfikacji oraz napraw systemów bezzałogowych, a także stworzenie trwałych struktur i mechanizmów wymiany doświadczeń pomiędzy jednostkami. Do końca 2026 roku planowane jest wypracowanie rozwiązań, które zostaną wdrożone w większości jednostek Sił Zbrojnych RP. Rozwój technologii bezzałogowych, potwierdzony doświadczeniami współczesnych konfliktów zbrojnych, stanowi dziś jeden z kluczowych elementów budowania przewagi operacyjnej we wszystkich domenach działań. ©

Nie będzie procesu w sprawie śmierci na ulicy Rycerskiej. Sprawa została umorzona

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

To był nieszczęśliwy wypadek, a samo zdarzenie nie było powodem śmierci 45-letniego mężczyzny. Takie jest stanowisko bydgoskiej prokuratury w sprawie tragedii, która wydarzyła się w październiku.

Prokuratura Rejonowa Bydgoszcz-Północ umorzyła postępowanie dotyczące zdarzenia z 5 października. To wtedy kierująca mercedesem, wyjeżdżając z parkingu podziemnego w bloku, przejechała po mężczyźnie, który spał na betonowym wyjeździe.

- Postępowanie zostało umorzone wobec tego, że nie dopatrzone się znamion czynu zabronionego u kierującej autem - mówi prok. Agnieszka Golińska-Żołtyński, zastępca szefa prokuratury rejonowej. - W sprawie był analizowany zapis monitoringu z miejsca zdarzenia, a także analizowana była opinia biegłego, z której wynika, że niewydolność krążeniowo-oddechowa, będąca przyczyną śmierci mężczyzny, nie była spowodowana w wyniku wypadku.

Nie miała możliwości dostrzeżenia...

Ponadto, jak podkreśla prokurator, kierująca, która siedziała za kierownicą samochodu, „nie miała możliwości

dostrzeżenia” mężczyzny leżącego na wyjeździe z parkingu.

Przypomnijmy, że do zdarzenia doszło wieczorem przy ulicy Rycerskiej. Postępowanie pierwotnie było prowadzone przez wydział ruchu drogowego. Jak ustaliliśmy, liczący 45 lat mężczyzna wcześniej przechodził przed wyjazdem z parkingu, upadł i zasnął. W toku postępowania prowadzona była analiza tok-

„Niewydolność krążeniowo-oddechowa, będąca przyczyną śmierci mężczyzny, nie była spowodowana w wyniku wypadku”

sykologiczna krwi poszkodowanego na obecność alkoholu i innych substancji psychoaktywnych.

Po wypadku zainstalowano lustro

- Jak ustalili policjanci, 33-letnia kierująca była trzeźwa. Mężczyzna został przetransportowany do szpitala, gdzie w nocy zmarł - powiedział krótko po zdarzeniu sierż. sztab. Jakub Skrzypek, oficer prasowy KMP w Bydgoszczy.

Jak się dowiadujemy, zarządca budynku, po zdarzeniu zainstalował przy wyjeździe lustro, by zwiększyć widoczność u kierowców opuszczających swoimi autami garaż. ©

Rada z Siernieczka zabiera głos ws. odoru z kompostowni

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Rada Osiedla Siernieczek zabiera głos w sprawie odoru z Remondisu. I odmawia spotkań.

- Rada Osiedla może jedynie bez wahania potwierdzić, że wszystko, co zgłosili mieszkańcy i co znalazło się w Pana artykule, jest niestety prawdą i nie zawiera ani krzty przesady. Okazało się, że tak długo zapowiadana hermetyzacja (czy aby na pewno hermetyzacja?) kompostowni, z którą jako mieszkańcy osiedla wiązaliśmy nadzieję na normalne życie, niewiele dała. Smród mniejszy lub większy w różnych miejscach naszego osiedla jest prawie codziennie - uznaje Rada Osiedla. „Zdumiewa nas natomiast wypowiedź rzecznika firmy Remondis pana Tokarskiego, cyt. „Badania wykazują spełnienie norm.” - stwierdzają radni.

W prawie brak norm dotyczących odoru

W polskim porządku prawnym nie ma przepisów określających normy dopuszczalnego odoru i nie ma żadnych formalnych metod badania natężenia odoru i jego uciążliwości. Być może pan Tokarski miał na myśli inne normy, np. dla samej instalacji- techniczne, budowlane, itp. Jednak w kontekście odczuwalnego rzeczywistego smrodu nie mają one tu



Siedziba Remondisu niedaleko osiedla Siernieczek

nic do rzeczy. Taka wypowiedź rzecznika Remondisu wprowadza po prostu w błąd opinię publiczną.

- Poza tym zdecydowanie zaprzeczamy, że przedstawiciele firmy Remondis regularnie spotykają się z Radą Osiedla Bydgoszcz Wschód - Siernieczek. Jedyne formalne spotkanie odbyło się latem zeszłego roku i miało charakter interwencyjny. Zainicjowane było licznymi skargami mieszkańców na smród z Remondisu, mimo oddania do użytkowania zhermetyzowanej (!) hali. Na spotkaniu tym zarząd firmy

Rada Osiedla może jedynie bez wahania potwierdzić, że wszystko, co zgłosili mieszkańcy i co znalazło się w artykule, jest, niestety, prawdą.

Remondis zapewniał że “incydenty” smrodowe ustaną po usunięciu usterek organizacyjno-technicznych. Tak się nie stało. W ostatnich miesiącach smród znowu się nasilił, mieszkańcy ponownie zaczęli masowo składać skargi do różnych służb, straży, instytucji, itp., a władze Remondisu po raz kolejny zaprosiły mieszkańców - tym razem Radę Osiedla - na spotkanie stwierdza Rada Osiedla.

Spotkań nie będzie

Rada Osiedla podjęła natomiast decyzję o nieprzyjęciu zaproszenia do Remondisu. Podstawą takiej decyzji była analiza faktów z okresu przeszło 12 lat „gazowania” osiedla odorem, w tym rezultaty spotkań zarządu Remondisu z mieszkańcami, dziesiątek rozmów, setek interwencji do wszelakich instytucji, zapewnień i obietnic

o zaprzestaniu smrodzenia, które to wielokrotnie padały, również w przestrzeni medialnej, a szczególnie w kontekście komunikatów wysyłanych następnie po spotkaniach z mieszkańcami opinii publicznej. Rada Osiedla uznała, że zaproszenia mieszkańców na spotkania Remondis traktuje wyłącznie instrumentalnie, w celu chwilowego uspokojenia sytuacji, a następnie kreowania się w mediach jako organizacja społecznie odpowiedzialna, dbająca o współpracę i dobre relacje z lokalną społecznością.

„Mieszkańcy czują się po raz kolejny oszukani..”

Rada Osiedla uznała, że zarządzający firmą Remondis doskonale znają problem. Mieszkańcy od lat domagają się wyłączenie jednego: zaprzestania nękania obrzydliwym odorem. Kolejne rozmowy nic nie wniosą, a w naszym odczuciu ponownie zostałyby wykorzystane przez Remondis do poprawy wizerunku firmy i tworzenia pozorów.

Jak już pisaliśmy: - Badania wykazują spełnienie norm. Nie mówię, że wszystko jest w porządku, ale jest lepiej, niż było. Poza tym jesteśmy w stałym kontakcie z Radą Osiedla Siernieczek, spotykamy się średnio raz na pół roku - stwierdził Piotr Tokarski, rzecznik bydgoskiego Remondisu.

©

Sukces bydgoskiego wydawnictwa Brda

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Bydgoskie Wydawnictwo Brda niespodziewanie sięgnęło po główne nagrody w dwóch z sześciu kategorii! Ogłoszone wyniki jednego z najbardziej prestiżowych konkursów literackich, poruszyło całe polskie środowisko czytelników i autorów kryminałów.

„Złoty Kościej” jest ogólnopolskim konkursem organizowanym już od 15 lat przez portal Kostonica, który jest mekką polskich fanów literatury z dreszczykiem: kryminału, horroru, thrillera. Jest to najbardziej rozpoznawalna marka konkursu odbywającego się w tych kategoriach, a przy tym - ze względu na fakt, że tutaj liczą się głosy czytelników, a nie wąskiego jury - „Złoty Kościej” jest uważany za najbardziej wartościową nagrodę.

- Zgłosiliśmy do konkursu kilka książek, bo choć Brda nie specjalizuje się w kryminałach i thrillerach, to kilka powieści tego rodzaju wydaliśmy w ubiegłym roku - mówi Krzysztof Drozdowski, szef Wydawnictwa Brda.

„Złotego Kościeja 2025” w kategorii „Okładka” otrzymała wydana przez Brdę powieść „Piekielne natchnienie” autorstwa Roberta Grota. Okładkę zaprojektowało Luna Design Studio. - Okładka świetnie oddaje treść powieści, czytelnicy docenili z pewnością jej walory artystyczne i przekaz. Od samego początku Wydawnictwo Brda postawiło na współpracę z najlepszymi fachowcami w Polsce, zarówno redaktorami, korektorami, drukarniami, jak i studiami graficznymi. Luna Design Studio każdą kolejną okładką robioną dla Brdy podnosi poprzeczkę jeszcze wyżej! - mówi Drozdowski.

Wydawnictwo Brda jest na rynku niecałe dwa lata, ale w tym czasie zdążyło już wydać blisko czterdzieści tytułów. W tej liczbie są zarówno powieści kryminalne, psychologiczne, obyczajowe, jak też opracowania naukowe i popularno-naukowe. Wydawnictwo intensywnie promuje swoje tytuły w Internecie oraz podczas targów. - Staramy się być obecni wszędzie tam, gdzie są czytelnicy szukający nowości. W tym roku niestety upadek hurtowni Azymut, z którą byliśmy związani, sprawił, że nie będzie naszego stoiska na targach w Poznaniu, ale na pewno nasze książki i nasi autorzy będą obecni na imprezach targowych w Warszawie, Wrocławiu, Łodzi i oczywiście w Bydgoszczy, na kolejnej edycji Festiwalu Książki jesienią w Zielonych Arkadach - zapowiada Krzysztof Drozdowski.

To było chyba największe zaskoczenie tegorocznej edycji

„Złotego Kościeja”. Wydawnictwo Brda wygrało w kategorii „Wydawca Roku 2025” pokonując takich gigantów jak m.in. Crime Books, Novae Res, Prószyński Media, Skarpę Warszawską, W.A.B. czy „Zwierciadło”. - To było jak sen! Dziękuję wszystkim, którzy głosowali na nasze wydawnictwo! - podsumowuje Drozdowski.

Pełna lista nagrodzonych Złotym Kościejem 2025:

- Fantastyka - Remigiusz Mróz „Węzeł czasu”;
- Thriller - Michał Śmielak „Śnieg przykryje”;
- Horror - Grzegorz Kopiec „Trzeci gatunek”;
- Okładka - Robert Grot „Piekielne natchnienie” (Luna Design Studio, Wydawnictwo Brda)
- Wydawca Roku - Wydawnictwo Brda;
- Kryminał - Adam Widerski „Rewers”. ©

Jäger trafił do Muzeum Wojsk Lądowych

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Pistolet to kolejny eksponat MWL otrzymany w ramach współpracy z policją i prokuraturą. To dość rzadki egzemplarz broni.

Jest to 7,65 mm pistolet Jäger. Bardzo ciekawa broń z początku XX wieku. Z uwagi na brak odpowiednich maszyn w firmie Franz Jäger & Co. produkującej pistolet, posiada on nietypowy, jak na swoje czasy szkielet i zamek. Broń charakteryzuje się szkieletem zbudowanym z dwóch tłoczonych połówek, które są przykręcane do frezowanych elementów, co zapewniała wysoką wydajność i prostotę obsługi.

Powstał w liczbie 12 605 szt. w latach 1914-17. Około 2000 sztuk uzyskało czy też miało

oficjalne odbiory armii cesarskiej.

Przypomnijmy, że całkiem niedawno Muzeum Wojsk Lądowych wzbogaciło się o tzw. „obryz” Mausera 98. - Podobnie zmodyfikowana broń była używana przez oddziały partyzanckie - informuje MWL.

Broń była też używana przez kłusowników, bo łatwo ją - z powodu rozmiarów - ukryć.

©



Pistolet Jäger - 7.65 mm

Powoduje wymioty i ostrą biegunkę. Jak toksyna trafiła do mleka dla najmłodszych?

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Na całym świecie wycofywane są produkty dla niemowląt, które mogą zawierać toksyczną substancję. Służby sprawdzają, jak znalazła się w mleku w proszku.

Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa i Żywności potwierdził obecność toksycznej cereulidyny w mleku w proszku, po spożyciu którego niemowlę przeszło ostrą biegunkę.

EFSA podaje, że wycofywanie niektórych partii mleka w proszku rozpoczęło już w grudniu 2025 r. i kontynuowano je w styczniu 2026 r. jako środek zapobiegawczy.

- Wycofanie ma charakter globalny, a produkty sprzedawane są zarówno w Europie, jak i w krajach poza Europą - informuje EFSA.

Jak wysokie jest ryzyko zachorowania?

Główny Inspektor Sanitarny uspokaja, że ryzyko negatywnych skutków dla zdro-



FOT. PIXABAY

Reakcja na toksynę zależy od wieku niemowlęcia. Najbardziej narażone są najmłodsze dzieci

wia dzieci po spożyciu wycofanego mleka jest oceniane jako niskie do umiarkowanego.

- Zależy ono od wieku niemowlęcia, przy czym noworodki i niemowlęta poniżej

szóstego miesiąca życia są bardziej narażone na ciężką chorobę. U młodszych niemowląt toksyna może szybko zaburzać równowagę elektrolitową organizmu (w wyniku uprzączywych wymiotów) i prowa-

dzić do powikłań, takich jak odwodnienie - objaśnia lekarze.

Dr Paweł Grzesiowski, Główny Inspektor Sanitarny, mówił w TVP o stwierdzeniu 36 przypadków z objawami zatrucia. - To jest bardzo dużo, ale jeżeli pomyślimy, że miliony dzieci otrzymały w ostatnim czasie te produkty, to jednak zachorowalność nie jest tak wysoka. To też nie jest tak, że każda buteleczka oznacza automatycznie zatrucie. Wiemy, że nie w każdej puszcze jest taka sama ilość tej substancji, ponieważ to nie było skażenie proszku tylko jednego ze składników używanego do produkcji. Są takie produkty, gdzie skażenie tej toksyny jest na tyle niewielkie, że nawet spożycie tego mleka kilkukrotnie nie powoduje objawów.

Powodem jest zanieczyszczenie oleju

- Jak toksyczna substancja znalazła się w mleku dla niemowląt? - chcą wiedzieć rodzice.

- Została wykryta w oleju z kwasem arachidonowym (ARA) używanym do produkcji produktów dla niemowląt i małych dzieci - wyjaśnia GIS. - Aktualnie badane są przyczyny i źródła zanieczyszczenia. Zarówno przedsiębiorcy, jak również właściwe organy nadzoru w Unii Europejskiej, prowadzą dochodzenia w celu zidentyfikowania wszystkich produktów, które mogą stanowić potencjalne ryzyko.

Oddawajcie produkty do sklepu

Inspekcja zapewnia, że jest w stałym kontakcie z dystrybutorami modyfikowanego mleka i śledzi proces wycofania wytypowanych partii oraz dalszy rozwój wydarzeń.

- W ramach postępowania wyjaśniającego wprowadzono dodatkowe kontrole jakości oraz analizy łańcucha dostaw. Przyczyną źródłową okazał się stosowany w niewielkiej ilości składnik pochodzący od zewnętrznej dostawcy, w którym stwierdzono obecność cereulidyny - wyjaśnia Nestle.

- Rodzicom, którzy posiadają wycofane partie produktów w domu, zalecamy, aby nie podawali ich dzieciom i oddali do sklepu, w którym zostały kupione, aby mogli uzyskać zwrot wartości zakupu. Dla usprawnienia procesu zwrotu zalecamy posiadanie paragonu - zaleca Nutricia.

Inne firmy też mogły używać

GIS wzmógł nadzór epidemiologiczny nad przypadkami zatrucia pokarmowych u niemowląt i małych dzieci w Polsce.

- Reagujemy na zgłoszenia konsumentów dotyczące obecności wycofywanych produktów w obrocie handlowym - podaje GIS. - Monitorujemy też informacje z systemu wczesnego ostrzegania o niebezpiecznej żywności i paszach odnośnie źródła zanieczyszczenia. Mamy na uwadze, że zanieczyszczony olej z kwasem arachidonowym (ARA) mógł być używany także do produktów innych firm.

©EP

„Myślę, że kultura w każdej dziedzinie jest naprawdę krucha”

Magda Jasińska
Zwierzenia przy muzyce

Marzena Matowska, dyrektorka bydgoskiego MCKu, kobieta odważna, o wielu pasjach, nie bojąca się spełniać swoich marzeń. Od niedawna posiadaczka medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Szczęśliwa posiadaczka?

No tak, chyba żadne inne odznaczenie, żaden inny medal nie sprawił mi takiej radości, bo Gloria Artis - nazwa tego medalu jest taka, że ja właściwie codziennie mogłabym ją powtarzać jako motto dnia.

Czyli krzyż nosisz na plecach, natomiast Głorię dumnie wpiętą w kłapę?

Gloria Artis - chwała sztuce, to jest wezwanie tak ważne i właściwie dzięki temu wezwaniu, to po prostu się tworzy kulturę. Codziennie musimy sobie to powiedzieć, żeby później zrobić to wszystko, co robimy.

Właściwie powinnaś znacznie wcześniej dostać ten medal.

Ja nigdy o tym nie myślałam, ponieważ to jest moje w ogóle pierwsze takie, poważne odznaczenie. Sama jakoś tak nie występowałam nigdy o odzna-

czenia dla nikogo. To jest taki świat poza mną, ale oczywiście cieszyłam się z każdego medalu, który mi przyznawały jakieś towarzystwa, na przykład Medal Sulimy Kamińskiego, bardzo dla mnie ważny. Pierwsze odznaczenie, to są wspomnienia, ale z takiej młodości, bo to z osiemnastego któregoś roku, kiedy pracowałam w Pałacu Młodzieży i tam moja dyrektorka Dorota Kempka wręczyła mi Medal Janka Kraskiego. Pamiętam potem spłonął magazyn z tymi medalami.

Ale Twój medal się ostał?

Mój jest, nie wiem co prawda gdzie, ale jest. Pamiętamy, to było ważne wyróżnienie w Pałacu Młodzieży. Ja tak troszeczkę potraktowałam medal Gloria Artis, jak podsumowanie jakiegoś bardzo ważnego etapu mojej pracy, bo wiadomo, że to już tak wiele tych lat pracy przede mną nie ma, więc bardzo się cieszę. Po wszystkim, po tym przyznaniu medalu zobaczyłam dopiero jak wyglądał wniosek. Tam było bardzo dużo rzeczy, które są dla mnie ważne. Bardzo dużo rzeczy było tam opisanych, więc tym bardziej się cieszyłam, że ktoś to w ogóle zauważył. Dowiedziałam się,

że to Wojewoda Kujawsko-Pomorski wystąpił o to odznaczenie. Szczerze mówiąc, nie miałam wielkiej nadziei, bo kategoria - upowszechniania kultury, nie jest taka szczególnie ukochana przez ministerstwo i niewiele osób dostaje medale. Tutaj tak się stało, że ten medal został przyznany i ja oczywiście ani przez 5 sekund, nie potraktowałam tego jako wyróżnienia wyłącznie dla siebie, bo przecież co ja sama mogłabym zrobić, przez te wszystkie lata, które w tym wniosku zostały opisane. Po cząwszy od tego Pałacu Młodzieży, ja tam prowadziłam jakiś zespół teatralno-literacki, zresztą do dzisiaj mam kontakt z tymi ludźmi. Nigdy nie byłam sama i to było najpiękniejsze, że „chwała sztuce” wołaliśmy zawsze w dużych grupach. Tak było też kiedy pracowałam w Teatrze Polskim za Wiesława Górskiego. Tak było w dzisiejszym Kujawsko-Pomorskim Centrum Kultury. A kiedy ja tam trafiłam, to chociaż nie byłam tam tak długo, ale to był fantastyczny też zespół ludzi, no i tam się dokonała rozbudowa. To ja to zaczęłam, ale z poczucia estetyki. Czułam, że nie wytrzymam w tej dawnej przychodni i dobrze, że Marszałek Woje-

wództwa się do tego odniósł bardzo pozytywnie. No i obecnie MCK jest takim elementem, który i w tym wniosku i dla mnie jest bardzo ważny. Ten cały bydgoski ruch, który się zaczął po pierwszym starcie o tytuł ESK (Europejskiej Stolicy Kultury). Wtedy powstało bydgoskie forum kultury, potem Kongres, Pakt dla kultury. Udział w tym ruchu, takim ruchu obywatelskim dla kultury, to było po prostu coś nieprawdopodobnego. A potem już był MCK. To jest największe moje zawodowe wyzwanie i nie waham się tego powiedzieć sukces, który osiągnęliśmy właściwie w tych naszych wszystkich przestrzeniach. Bo przecież dzisiejszy MCK, to jest przekształcony MOK, który był w Węgliszku i w Ostromecku. A dzisiaj to jest stare kino Orzeł z ogromną ilością sekcji, festiwalu, bo to jest nasza kwatera główna, ale to jest też Barka Lemara, to jest Galeria Wspólna, to jest Dom Liter, to jest zespół pałacowo parkowy Ostromecko, w którym po prostu jest inny świat. Pałac, prawdziwy pałac z dziełami sztuki, z porcelaną, z meblami, z kominkiem, z bijącymi zegarami i z ludźmi, którzy tych wszystkich cudów dokonali. Więc ja się bardzo cie-



MIKOŁAJ KURAS XPUM

Zwierzenia przy muzyce Marzeny Matowskiej na antenie Radia Północni w piątek, godzina 20.05

szę, że nam się udało w MCKu jakoś wspólnie uwierzyć w to, że możemy, że kultura jest ważna, że ona buduje wspólnotę, ale buduje naszą wspólnotę z odbiorcami. Wyobraź sobie, że na przykład w ubiegłym roku mieliśmy 375000 odbiorców. Wiesz, ponad 2000 wydarzeń. Oczywiście seans filmowy jest wydarzeniem, audycja w Radiu Kultura jest wydarzeniem, koncert też. I ja nie mówię tutaj o normalnej działalności. Po prostu to się dzieje, ale na to się też składa Miasto Muzyki. Wiesz, z czego ja się cieszę, że tak jak kiedyś

się mówiło z dumą oczywiście - Bydgoszcz jest miastem muzyki i już wszyscy wiedzieliśmy, że jest, bo tu jest dużo instytucji, dużo się rzeczy dzieje, ludzie kochają muzykę. Dzisiaj to już naprawdę coraz więcej osób z dumą mówi, że jesteśmy Miastem Muzyki UNESCO.

Na to będzie trzeba pracować, bo to nie jest dane na zawsze.

Nie, to nie jest na zawsze, ale naprawdę może być na zawsze. Wiesz co, łatwiej jest utrzymać ten tytuł, aniżeli wyłecić z tej sieci, bo jeśli jest się aktywnym, a po to się do tej sieci wchodzi i oczywiście muzyka jest tym filtrem, przez który działamy, który jest tym naszym obszarem kreatywnym. My musimy każdego dnia pamiętać o tych 17 celach agendy 2030. Tego, co łączy Miasta Muzyki, Literatury, Nowych Mediów, wszystkich obszarów kreatywnych, czy kulinariów, czy architektury, czyli równość, wszystkie wyzwania klimatyczne, edukacja przez całe życie, godne warunki pracy, życia, czyli o tym, co praworządne, co nas definiuje jako demokratycznych mieszkańców miasta i demokratycznych uczestników tej całej sieci.(...)

Zbieractwo bywa i objawem, i samą chorobą

Mira Suchodolska
PAP

Rozmowa z prof. Tomaszem Sobowem, psychiatrą z warszawskiego Centrum Terapii Dialog

Co jakiś czas media opisują historie lokatorów skarżących się na sąsiada gromadzącego w mieszkaniu śmieci. Pojawia się wtedy termin zbieractwo. Czym ono właściwie jest z punktu widzenia psychiatrii, chorobą czy tylko dziwnym zachowaniem?

Jak to w psychiatrii, najlepsza odpowiedź brzmi: to zależy. Zbieractwo jest terminem parasolowym i może oznaczać bardzo różne rzeczy. Z jednej strony mamy wyodrębnioną jednostkę chorobową - zaburzenie gromadzenia. Jest ono opisywane w klasyfikacjach stosunkowo od niedawna i lokowane w pobliżu zaburzeń kontroli impulsów. W tym sensie można mówić o chorobie. Z drugiej strony bardzo często zbieractwo jest objawem czegoś innego - odstępstwem od normy behawioralnej wynikającym z innych problemów psychicznych lub neurologicznych.

Jakich na przykład?

Najczęściej jako element zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Bardzo często pojawia się też w otępieniach, zwłaszcza czołowo-skroniowych, czyli takich, które wynikają z uszkodzenia kory czołowej, obszaru odpowiadającego za planowanie, organizację i ocenę sytuacji. Zdarza się



Tomasz Sobów: kolekcjoner wie, co kolekcjonuje. Potrafi swoją kolekcję uporządkować, opisać, wskazać kryterium wartości. Zbieracz tego nie ma

również w nierozpoznanym i nieleczonym ADHD, nawet u osób w bardzo późnym wieku. Czyli zbieractwo może być zarówno samodzielnym zaburzeniem, jak i objawem, który kieruje naszą diagnostykę w zupełnie inną stronę.

Jak psychiatra definiuje zbieractwo jako jednostkę chorobową?

Definicja jest stosunkowo prosta. Po pierwsze mamy do czynienia z gromadzeniem przedmiotów, które zwykle nie mają realnej wartości użytkowej albo - nawet jeśli potencjalnie są użyteczne - nie są używane. Celem nie jest korzystanie z nich, tylko posiadanie. Po drugie kluczowa jest trudność w rozstaniu się

z tymi przedmiotami. Bardzo często pacjenci mówią: to się może przydać. Ich bliscy nazywają te rzeczy przydasiami - połowa mieszkania jest zawalona przedmiotami, które być może kiedyś do czegoś się przydadzą, ale nikt nie potrafi powiedzieć, do czego.

Znałam osobę, która zbierała wszystkie zadrukowane kawałki papieru - gazety, fragmenty książek, ulotki. Twierdziła, że nie jest zbieraczem, tylko kolekcjonerem. Gdzie przebiega granica?

Psychiatrzy i psychopatologowie mówią prosto: kolekcjoner wie, co kolekcjonuje. Potrafi swoją kolekcję uporządkować, opisać, wskazać kryterium wartości. Nawet jeśli ta

wartość jest potencjalna albo przyszła, to działanie jest zorganizowane, przemyślane i selektywne. Zbieracz tego nie ma. Działanie jest impulsywne, chaotyczne, bez realnego ładu. Kryterium bywa bardzo szerokie, na przykład: wszystko, co zadrukowane. Ale nie ma tu sensownej organizacji ani planu wykorzystania.

Pamiętam mężczyznę, który gromadził kartonowe podkładki pod piwo i trzymał je na strychu w workach. Miał ich tak dużo, że zawalił się strop. To już jest sytuacja, w której trzeba się bardzo dokładnie przyjrzeć, czy to był kolekcjoner, któremu coś wymknęło się spod kontroli, czy klasyczne zbieractwo polegające na gromadzeniu rzeczy bez ładu i składu.

Jak duża jest skala problemu?

Trudno powiedzieć. Porządnym badań jest bardzo niewiele. Jedno z amerykańskich sugerowało nawet, że problem może dotyczyć około dwóch procent populacji, co byłoby liczbą ogromną, ale było to jedno badanie, w konkretnym regionie. Paradoksalnie największą wiedzę na temat skali zjawiska mają nie psychiatrzy, lecz pracownicy socjalni, bo to oni najczęściej identyfikują te przypadki, gdyż zbieractwo bywa uciążliwe dla otoczenia.

Jest też zbieractwo zwierząt. Tak, z ang. animal hoarding. To zjawisko znane i bardzo

medialne. Czasem ma podłoże samarytańskie - ludzie zbierają chore, porzucone zwierzęta, chcą je ratować. Czasem tego podłoża nie ma. Niezależnie od motywacji bywa to ogromnie problematyczne dla otoczenia i samych zwierząt.

Jaki jest typowy profil pacjenta?

Widzimy dwie wyraźne grupy. Pierwsza to osoby, u których objawy zaczynają się stosunkowo wcześnie, nawet w młodym wieku, ale nastają latami i długo pozostają niezauważone. Druga to osoby starsze, u których zbieractwo jest najczęściej wtórne, związane z otępieniem, chorobami mózgu czy innymi zaburzeniami organicznymi. W tej drugiej grupie zbieractwo jest raczej behawioralnym wykładnikiem czegoś innego.

Pamięta pan jakiś konkretny przypadek z praktyki?

Tak. Miałem pacjentkę, u której zbieractwo zaczęło się bardzo wcześnie. Penetrowała śmietniki w coraz większym promieniu, szukała wyrzucanych zabawek. Na początku wyglądało to wręcz sensownie - czyściła je, przygotowywała do ponownego użycia, oddawała do domów dziecka. Potem wszystko wymknęło się spod kontroli. Ostatecznie okazało się, że przyczyną był proces rozrostowy w ośrodkowym układzie nerwowym. Zachowanie przypominało zbieractwo, ale nim nie było.

W dyskusjach o zbieractwie specjaliści często podkreślają, że prawdziwym problemem w tym zaburzeniu nie są rzeczy, lecz emocje.

Bez wątpliwości. To zaburzenie związane z regulacją emocji, lękiem, kontrolą impulsów, a także z funkcjami wykonawczymi - planowaniem, organizacją, oceną sytuacji. Zbieranie daje chwilowe poczucie bezpieczeństwa albo redukuje napięcie. Działa trochę jak narkotyk. Na moment przynosi ulgę, ale potem trzeba powtarzać czynność. Co ciekawe, większość pacjentów nie potrafi sensownie wyjaśnić, dlaczego to robi. A ci, którzy potrafią, często w ogóle nie spełniają kryteriów zaburzenia.

Dlaczego chorzy rzadko zgłaszają się po pomoc?

Bo nie widzą problemu, co nazywamy brakiem wglądu. Zgłoszenie prawie zawsze pochodzi od kogoś innego - rodziny, sąsiadów, czasem od personelu medycznego przy okazji hospitalizacji z zupełnie innego powodu. Psychiatra pojawia się zwykle bardzo późno, kiedy sytuacja już eskalowała.

Zbieractwo wydaje się jednym z najbardziej stygmatyzowanych zaburzeń psychicznych.

Bo jest bardzo dalekie od doświadczenia przeciętnego człowieka. Depresję w jakiejś formie znamy wszyscy. Zbieractwa nie. To, czego nie rozumiemy, budzi lęk i odrzę. (...)

Złamała zasady L4 i musi oddać ponad 12 tys. zł zasiłku chorobowego

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan@polskapress.pl

Narażała zdrowie i nie pożytkowała L4 zgodnie z zaleceniami lekarza - uznał sąd pracy w Toruniu. Nauczycielka musi oddać ponad 12 tysięcy zł pobranego zasiłku chorobowego.

Wielokrotnie opisywaliśmy sprawy, w których ZUS niesłusznie zarzucał pracownikom złe pożytkowanie zwolnienia chorobowego, nakazywał zwrot pieniędzy, a potem w sądzie przegrywał. Sprawa tej młodej nauczycielki jest jednak inna - w jej przypadku sąd pracy w Toruniu rację przyznał ubezpieczycielowi.

Na mocy wyroku Sądu Rejonowego w Toruniu odwołanie kobiety od decyzji ZUS nakazującej jej zwrot zasiłku chorobowego zostało oddalone. A to oznacza w praktyce, że kobieta

musi uczynić tak, jak nakazał jej ZUS - zwrócić dokładnie 12 tysięcy 433 zł i 73 gr zasiłku chorobowego. Kwota jest duża, bo dotyczy łącznie ponad rocznego okresu na L4.

Dodajmy, że sprawa toczyła się w Toruniu, ale dotyczyła innego niż toruński oddział ZUS.

Jeździła na zajęcia w szkole doktorskiej

Kobieta z zawodu jest nauczycielem edukacji wczesnoszkolnej. Uczyła dzieci w wieku od 6 do 9 lat. Kłopoty ze zdrowiem zaczęły się u niej od powtarzających się uparcie infekcji. Po diagnozowaniu i badaniach okazało się, że ma poważne problemy hematologiczne. Do dziś jest pod kontrolą specjalistów z tej dziedziny.

Nauczycielka była hospitalizowana, przez długi też czas - ponad rok - korzystała ze zwolnień chorobowych. Według zaleceń lekarzy miała unikać sku-

pisk ludzkich, wszelkich infekcji i obniżania odporności, a także wychłodzenia. „Może chodzić” - zapisano co prawda w zwolnieniach, ale dotyczyć miało to chodzenia po domu czy wyjścia z niego w pilnej sprawie.

Tymczasem w trakcie chorobowego kobieta przeszła pomyslnie rekrutację do szkoły doktorskiej i zaczęła jeździć na zjazdy do innego miasta. Jak zapewniała w sądzie ona sama, a także jej matka, dbała o siebie w trakcie tych wyjazdów szczególnie. Na zajęcia samochodem wozili ją rodzice, by unikała pociągów i autobusów. W okresie

Sprawa tej młodej nauczycielki jest jednak inna - w jej przypadku sąd pracy w Toruniu rację przyznał ubezpieczycielowi.

jesiennie-zimowym zabierała ze sobą nawet termofor, byle zapewnić ciepłotę dłoniom i stopom.

Mimo wszystko jednak kobieta znów podupadała na zdrowiu (trafiła między innymi znów do szpitala), zamiast na L4 do zdrowia wracać.

W jaki sposób ZUS dowiedział się o jej wyjazdach na zajęcia, nie wiemy. Dokonał jednak kontroli prawidłowości pożytkowania przez nią zwolnienia i stwierdził, że wykorzystywała nienależnie. Nakazał zwrot pobranych pieniędzy z zasiłku.

Przesądziły opinie biegłych lekarzy

Po odwołaniu się nauczycielki od decyzji ZUS sprawa trafiła do IV Wydziału Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Rejonowego w Toruniu. Badana była drobiazgowo. Przesądziły opinie biegłych - hematologa i lekarza chorób

wewnętrznych. Ci stwierdzili, w największym skrócie, że chora hematologicznie pacjentka takimi wyjazdami narażała zdrowie.

Nie pomogły też twierdzenia nauczycielki, że przed podjęciem nauki uzyskała zielone światło od lekarza prowadzącego.

- W szczególności Sąd Rejonowy weryfikował, czy ubezpieczona istotnie konsultowała zamiar podjęcia i realizowania studiów z lekarzem prowadzącym, który w ramach leczenia odwołującej wyrażał zgodę na jej kształcenie i udział w zajęciach stacjonarnych. To zdaniem sądu wykluczałoby bowiem złą wiarę odwołującej, albowiem wyłączałoby po jej stronie element świadomości co do wykorzystywania zwolnienia niezgodnie z celem i nienależnego pobierania świadczenia. Przeprowadzone postępowanie dowodowe nie po-

twierdziło jednak twierdzeń odwołującej, że w spornym okresie pytała lekarza prowadzącego o zgodę na podjęcie studiów - zaszczepiła asesora sądownego Beata Szymańska w uzasadnieniu wyroku.

Sąd podkreślił, że kobieta miała pełną świadomość, iż uczestnicząc w zajęciach postępuje niezgodnie z celem zwolnienia. - W pełni bowiem rozumiała istotę swojej choroby; wiedziała, jakie zagrożenie niesie ze sobą kontakt z otoczeniem i podejmowała szereg środków ostrożności, które miały zminimalizować w jej przekonaniu skutki niedostosowanych do zaleceń medycznych zachowań - wskazała asesora sądownego Beata Szymańska.

Wyrok w tej sprawie wraz z uzasadnieniem 6 lutego br. opublikowany został w Portalu Orzeczeń Sądowych i oznaczony jako nieprawomocny. ©©

Potrzebne są zmiany i szeroko zakrojone pomysły

Na początku lutego w Centrum Wystawowym PRONAR w Siemiatyczach odbyło się do-
roczne spotkanie z załogą, na którym nie zabrakło wyjątkowych gości. Pojawili się wśród
nich przedstawiciele administracji publicznej, samorządów, świata gospodarczego oraz
środowisk mających realny wpływ na przyszłość polskiego rolnictwa i bezpieczeństwa
żywnościowego kraju. Głos na temat firmy PRONAR zabrał m.in. minister rolnictwa i roz-
woju wsi Stefan Krajewski, Monika Jadwiga Piątkowska – senator RP oraz prezes Pol-
skiej Izby Zbożowo-Paszej, czy też Wojciech Legawiec, prezes ARiMR.

Przed tak zacnym gronem prezes fir-
my PRONAR Sergiusz Martyniuk opo-
wiedział o tym, co już za nami, ale też
o planach na nadchodzące lata. Podkre-
ślił, że rok 2025 był wymagający - za-
równo jeśli chodzi o sam PRONAR, ale
też w kontekście całej branży rolniczej,
jak i samych rolników. Zaznaczył też,
że spółka z optymizmem patrzy w przy-
szłość, licząc na poprawę koniunktury
w 2026 roku – także dzięki dalszemu
wdrażaniu innowacyjnych rozwiązań
produkcyjnych.

- W PRONARZE obecnie jest dobrze.
Ale nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie
było lepiej - zapewnił Sergiusz Marty-
niuk. - Rozpoczął się nowy rok, w zwią-
zku z tym mamy nowe plany. Nasze
możliwości sięgają 4 miliardów obrotu,
a robiliśmy 1,5 miliarda. To niby dużo,
ale w naszych warunkach, kiedy mamy
dopasowaną i unikalną technologię,
możemy wykonywać więcej. Potrzebny
jest tylko zbytni na produkowane maszy-
ny. Myślę, że na ten rok zaplanowaliśmy
dużo więcej i będziemy ten nasz plan
wykonywać. Nie pozostaje więc nic in-
nego, jak brać się do roboty, produk-
ować i sprzedawać. Musimy zwiększyć
produkcję i zająć nowe rynki zbytu, któ-
re dadzą nam nowe możliwości.

Kulminacyjnym punktem spotkania było
zaprezentowanie przez prezesa koncep-
cji programu systemowego, który - jak
podkreślał - był konsultowany z samy-
mi zainteresowanymi - klientami, dea-
lerami, samorządowcami. Dotyczy on
wzmocnienia bezpieczeństwa żywno-
ściowego kraju oraz poprawa stabilno-
ści ekonomicznej gospodarstw rolnych,
czyli wsparcie rolnictwa w Polsce. Roz-
wiązanie te zakładałyby większe wy-
korzystanie środków z KPO na pozio-
mie samorządów. Ale to nie wszystko.
W grę wchodzi tu również uruchomienie
inwestycji w infrastrukturę magazynową
i przetwórczą, taką jak elewatory zbo-
we i młyny, z której mogliby korzystać
rolnicy. W ocenie prezesa to rozwiązanie
wzmocniałoby bezpieczeństwo żywno-
ściowe i stabilizowało rynek, ogranicza-
jąc presję natychmiastowej sprzedaży
plonów.

Zaprezentowane założenia programu
koncentrowały się na wsparciu rolni-
ków w obszarze gospodarki zbożowej
w okresach nadwyżek i niedoborów,
rozwoju infrastruktury magazynowej
i przetwórczej, w tym elewatorów zbo-
wych i młynów, stworzeniu możliwości
dla jednostek samorządu terytorialnego
pozyskiwania gruntów Skarbu Państwa
pod inwestycje służące realizacji pro-
gramu oraz wskazaniu potencjalnych
modeli finansowania z udziałem instytu-
cji publicznych.



W ocenie PRONAR takie rozwiązania
mogłyby ograniczyć presję sprzedaży
plonów bezpośrednio po zbiorach, sta-
bilizować rynek oraz wzmocnić bezpie-
czeństwo żywnościowe państwa w dłuż-
szej perspektywie. Taki system realnie
mógłby ochronić m.in. przed załamania-
mi cen po żniwach, kryzysami geopolity-
cznymi i rynkowymi, skutkami ekstre-
malnych zjawisk pogodowych. System
ten mógłby działać prewencyjnie – zapo-
biegać kryzysom, a nie tylko łagodzić
ich skutki. Byłby to dodatkowo system
buforowy, który dałby rolnikom perspek-
tywę kilku lat, a nie jednego sezonu.

Jak zapewnił prezes PRONARU, można
by ziemię, która należy do państwa roz-
dzielić do samorządów. Tak żeby rząd
przydzielił zainteresowanym po tyle hek-
tarów, ile trzeba. Ziemia ta nie powinna
być sprzedawana, ponieważ byłoby to
niesprawiedliwe, bowiem ten, który
miałby więcej pieniędzy kupiłby jej wię-
cej, a drugi mniej lub w ogóle.

- A po co ta ziemia? Żeby powiaty,
gminy, burmistrzowie i wójtowie zaczę-
li myśleć, jak zabezpieczyć się przed
zagraniczną pszenicą, słonecznikiem,
czy rzepakiem. Mamy w całym kraju
ponad 100 dealerów, którzy nam sprze-
dają towar. Mamy spotkania z naszymi
samorządowcami - w powiecie, w gmi-
nie - podkreślił Martyniuk. - Podczas
nich nie dyskutuje się tylko o tym ile coś
kosztuje. Nasi ludzie rozmawiają o ży-
ciu. I zaczynają opowiadać, co im pa-
suje, a co nie. Pojawia się często głos,
że nie ma porządnego zaplecza. Jeżeli
by ci ludzie dostali tę ziemię, musieliby
przygotowywać materiały, żeby można
było wybudować chociażby elewatory
czy też suszarnie i w końcu młyny - cała
infrastruktura rozwojowa. A do tego też
warto by było zainwestować w fotowol-
taikę, bo na to przecież są pieniądze,
to jest zielona energia. Jak można mieć
bydło udojowe, nie mając czegoś takie-
go? Myślę, że ten pomysł powinien się
przyjąć. Może nie od razu, ale w przy-
szłości myślę, że tak. Wszystkie te su-
gestie zebrałem i je przekazuję. Wydaje

mi się, że warto o nich pomyśleć, zrobić
specjalną naradę, żeby dokładnie zrozu-
mieć o co tym ludziom chodzi. Bo to na-
prawdę ważne i ciekawe kwestie (...) To
jest sprawa również demograficzna. Rolnik
w tej chwili, jeżeli dostanie 300
tysięcy, to kupi maszyny, a za chwilę bę-
dzie musiał się żenić, pojawiają się dzieci
i co dalej? Perspektywa się kończy. Wi-
zja to jest to, co jest potrzebne ludziom.
Nie ma nic, jeżeli nie mamy przed sobą
perspektywy.

**Do pomysłu odniósł się m.in. minister
Stefan Krajewski.**

- Jesteśmy w firmie z 38-letnią historią,
gdzie doskonale widać, jak ważne jest
planowanie pewnych procesów do przodu,
ale też sięganie po najnowsze tech-
nologie światowe - mówił minister Ste-
fan Krajewski. - To jest model takiego
podejścia biznesowego, które w Polsce
też udaje się realizować, działać z my-
ślą o rozwoju branży, ale też rozwoju na-
szych regionów. Województwo podlaskie
rolnictwem stoi, w związku z tym rozwo-
jem rolnictwa rozwijały się i rozwijają cią-
gle nasze firmy przetwórcze, ale też fir-
my produkujące maszyny dla rolnictwa,
dla leśnictwa, dla budownictwa.

Krajewski podkreślił, że polski rząd
wspólnie z samorządem wspiera przed-
siębiorczość na obszarach wiejskich.
Stwierdził, że w miastach powstają stre-
fy ekonomiczne, gdzie są zwolnienia
z podatków dla firm, które chcą się roz-
wijać. Ale dzisiaj głównym wyzwaniem
jest szeroko rozumiane bezpieczeństwo
- militarne, energetyczne i żywnościowe.

- Oczywiście w tym bezpieczeństwie
żywnościowym dzisiaj wyzwaniem
jest zabezpieczenie odpowiednich ilo-
ści żywności na wypadek kryzysów,
na wypadek wojny - podkreślił minister.
- I to jest dzisiaj zadanie dla rządu, ale
też dla samorządów. Oczywiście, żeby
mogły powstawać takie inwestycje,
potrzebne jest odpowiednie wsparcie.
To wsparcie, którego udzielaliśmy
w ramach Krajowego Planu Odbudowy



na lata 2023-2027, ale też już projekto-
wanie przyszłej perspektywy finansowej
po roku 2027. Tych wyzwań jest dużo.
Dobrze, że pojawiają się i takie pomysły,
i takie działania, które mają nas odpo-
wiednio wzmocnić. Dzisiaj postawiliśmy
dużo w ramach KPO na wzmocnienie
konkurencyjności i odporności polskiego
rolnictwa. To silosy, to magazyny zbo-
we. Jeżdżąc obecnie po Polsce, w wie-
lu miejscach widać nowo wybudowane
silosy, które jeszcze błyszczą i lśnią tą
świeżością.

Minister odniósł się też do pozycji
PRONARU na rynku. Zapewnił, że jest
to jest jedno z wielu miejsc w wojewód-
ztwie podlaskim, w którym warto mówić
o tym, że międzynarodowy sukces moż-
na osiągnąć nie wyjeżdżając stąd.

**O tym, jak dobrą firmą jest PRONAR
mówiła też Monika Jadwiga Piątkow-
ska – senator RP, prezes Polskiej Izby
Zbożowo-Paszej.**

- PRONAR jest doskonałym przykła-
dem na to, że z każdego miejsca w Pol-

ską wartością, jaką macie tutaj jesteście
wy. To jest wasza determinacja, wasza
siła, wasza pomysłowość, wasza kon-
sekwencja. Wizja, którą macie (...) Mam
nadzieję, że macie świadomość tego,
że odnieście światowy sukces.

Ważny był też podczas spotkania mo-
ment, w którym Sergiusz Martyniuk zo-
stał przez Wojciecha Strzałkowskiego
oraz Jacka Romanowskiego uhonorowa-
ny specjalną, limitowaną Złotą Odznaką
Podlaskiego Klubu Biznesu w uznaniu
zasług i osiągnięć ważnych nie tylko
dla firmy, ale także dla województwa
podlaskiego.

PRONAR od wielu lat wyznacza trendy
na rynkach i jest obecny nie tylko w Pol-
sce, ale i na świecie. Nazwa wzięła się
z połączenia słów: „Pro” – pochodzące
od produkcji i „Nar” – z nazwy miej-
sowości Narew, w której firma powstała.
Od początku istnienia marki właścicie-
lom przyświecała idea stworzenia moż-
liwie samowystarczalnego przedsiębior-
stwa produkcyjnego o różnorodnych
profilach działalności. Dziś firma liczy
ponad 2500 pracowników oraz posiada
9 nowoczesnych fabryk. PRONAR jest
niekwestionowanym liderem w produkcji
i sprzedaży maszyn oraz urządzeń prze-
znaczonych dla rolnictwa, branży komu-
nalnej, recyklingowej czy transportowej.

Warto dodać, że niezmiennie od lat
PRONAR wykazuje się lokalnym pa-
triotyzmem wspierając polskie rolnictwo
i lokalne społeczności. Nie tylko za spr-
awą oferty, ale też cen. Firma zapewnia,
że w 2026 roku będą obowiązywać stałe
ceny, a w zależności od modelu mogą
być one niższe nawet do -15%. Pozwala
to zaplanować zakup bez obaw o zmia-
ny cen w trakcie roku. Cennik obejmu-
je wszystkie przyrządy rolnicze i łączy
się z aktualnymi promocjami. To oferta
przygotowana z myślą o rolnikach, fir-
mach usługowych, samorządach oraz
wszystkich użytkowników, którzy sta-
wiają na nowoczesne, solidne maszy-
ny produkowane w Polsce. PRONAR
zachęca też do wspierania polskich firm
oraz do patriotyzmu zakupowego. Cho-
ciażby za sprawą właśnie specjalnych
obniżek cen, dzięki którym mamy do-
brej jakości, wyprodukowany w Polsce
towar w świetnej cenie. Firma pokazuje,
że warto nie tylko kupować polskie pro-
dukty rolnicze, ale też wyboru polskich
maszyn rolniczych.

Bydgoszcz zwracała się ku Brdziej, czy teraz odwróci się od niej?

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

- Poprosiłam o rozwiązanie umowy o pracę i z dniem 25 lutego pożegnaliśmy się z MPU. Uznałam, że zrobiłam tyle, ile mogłam i dziś będąc dyrektorką pracowni już nic więcej nie jestem w stanie zrobić - mówi Anna Rembowicz-Dziekiowska, architektka i urbanistka z 38 letnim doświadczeniem zawodowym, przez 12 ostatnich lat dyrektorka Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w Bydgoszczy.

Pracowała już pani w MPU w latach 1997-2002. Długo zastanawiała się pani nad powrotem w 2011 roku? Co wtedy było kluczowe przy podjęciu decyzji?

W 2002 roku zmienił się prezydent Bydgoszczy, który postanowił zwolnić niemal wszystkich dyrektorów - zwolniono nas hurtowo, 13 grudnia 2002 r. W 2011 r. pojawiła się możliwość powrotu. Chociaż rezygnacja z własnej działalności, którą wówczas prowadziłam, wcale nie była łatwą decyzją, to jednak postanowiłam stanąć do konkursu na stanowisko dyrektora MPU, aby kontynuować te działania, które zostały zainicjowane 9 lat wcześniej. Wiedziałam, czym chcę się zająć. Przede wszystkim ratowaniem zniszczonej, historycznej tkanki miasta. Od czasów szkolnych patrzyłam jak niszczyły nasze Stare Miasto i Śródmieście. W latach 70. ówczesne władze postawiły nawet od strony Wąłów Jagiellońskich ogromny billboard, by przesłonić te zrujnowane kamienice. Pomimo upływu kilkudziesięciu lat, degradacja postępowała nadal, nikt nie remontował ani kamienic Starego Miasta, ani Śródmieścia, ludzi było tu coraz mniej, ulice pustoszały, kamienice zamieniały się w groźące zawaleniem ruiny. Uznałam, że muszę spróbować zgodnie z zasadą „jak nie ja, to kto, jak nie teraz, to kiedy”. Chciałam ruszyć lokomotywę i rozpocząć proces rewitalizacji. Myślałam, że wracam tylko na 4 lata, bo zakładałam, że wraz ze zmianą prezydenta, znów będzie wymiana kadry. Starałam się zatem, by jak najszybciej przygotować wszystkie najistotniejsze dokumenty wskazujące kierunki przekształceń. W 2012 i 2013 r. po-



FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

- Trzeba czuwać nad tym, aby nadal rewitalizowana była historyczna tkanka miasta, by utrzymać skalę zabudowy i nie dopuścić do zawłaszczania terenów nadbrzeżnych przez indywidualnych inwestorów - uważa Anna Rembowicz-Dziekiowska

wstały w MPU najważniejsze opracowania dotyczące planów dla Starego Miasta, Śródmieścia, a także rewitalizacji Starego Miasta i Starego Fordonu. Cały czas podkreślałam też potrzebę odwracania się miasta w stronę rzeki, odsuwania zabudowy od nabrzeży, żeby tereny położone wzdłuż Kanału, Brdy i Wisły stały się publicznie dostępnymi terenami wypoczynku, główną osią rekreacyjną miasta. O tych pracach mówiłam na różnych forach, a ich efekt zaczął być widoczny, ale nie-które moje działania miały miejsce wyłącznie w „zaczynu gabinetów”. Bardzo istotne były dla mnie tereny pozamieszkalowe i ich ochrona przed napływem firm, które mogły znacząco oddziaływać na środowisko lub grozić poważną awarią. Były tu różnice zdań pomiędzy pracownikami Urzędu, a mną, ale te rozmowy (choć czasem bardzo burzliwe) odbywały się w bardziej kameralnym gronie.

Liczyła się pani z tym, że przychodzi tylko na jedną kadencję. Dyrektorem MPU nie musi mieć większego komfortu czasu?

Oczywiście powinno tak być, ale miałam już za sobą doświadczenie zwolnienia. Nigdy w życiu nie byłam politykiem, nie miałam związku z żadną partią, ale w 2002 r. przyszedł nowy prezydent i mnie zwolnił, nie pytając o to, czym zajmuję się Pracownia, co jest ważne dla rozwoju miasta. Liczyłam się z tym, że w przypadku ponownej zmiany prezydenta może się to powtórzyć. Dlatego bardzo spieszyłam się z opracowaniami i planami, by móc powoływać się na nie, nawet jak mnie następna władza wyrzuci. Na szczęście tak się nie stało.

Wspomina pani w podsumowującym pracę w MPU wpisie o potrzebie przełamania oporu materii z różnych stron. Gdzie był największy? Opór był wprawdzie wielu miejscach, na różnych etapach i z wielu stron, także w ratuszu. Często starałam się przekonywać do rozwiązań, które dla mnie były oczywiste. Takim „przełamaniem oporu materii” była na przykład sytuacja, kiedy jeden z opozycyjnych radnych złożył wniosek do wojewody, aby

uchylić plany miejscowe „Starego Miasta” i „Śródmieścia”. To był straszny cios w plecy i działanie zupełnie niezrozumiałe. Te plany, z takim trudem przygotowane, stały się podstawą prawną dla remontów walących się kamienic, co powinno być priorytetem ponad partyjnymi podziałami. Na skutek interwencji radnego, wojewoda w 2012 r. zaskarżyła te plany do sądu administracyjnego, który stwierdził ich nieważność. Złożyliśmy skargi kasacyjne i wygraliśmy w NSA, ale proces rewitalizacji był przez rok (do czasu wyroku NSA) skutecznie zatrzymany. Innym „oporem materii” były pozakulisowe działania na forach społecznościach. Często się zdarzało, że gdy rekomendowałam jakieś istotne dla miasta rozwiązanie w zaciśniętym gabinecie (np. sprzeciwiałam się lokalizacji spalarni odpadów niebezpiecznych, twierdząc że jest to inwestycja niegodna z ustaleniami planu miejscowego) albo zabiegałam o odsunięcie jakiejś deweloperskiej zabudowy od brzegu rzeki (np. na wysokości Bartodziejów), nagle na forach nasilała się fala kry-

tyki moich działań, z jakichś zupełnie wymyślonych powodów. Duży opór, który nadal trzeba przełamywać dotyczy budowy parkingów wielopiętrowych. Przeciwnicy twierdzą, że taka możliwość protestują nawet spółdzielnie mieszkaniowe. Niedawno wygraliśmy w sądzie administracyjnym spór ze spółdzielnią, która zaskarżyła zapisy planu, umożliwiające budowę takich garaży.

Jak ważna w pracy urbanisty jest cierpliwość? Wiele z działań, które były inicjowane w 2012 r., dalej jest w procesie. Cierpliwość i konsekwencja to podstawa. Wiele się zadziało przez ostatnie lata, ale bez konsekwencji i kontynuacji, w każdej chwili ten proces może się zatrzymać, a nawet cofnąć. Trzeba czuwać nad tym, aby nadal rewitalizowana była historyczna tkanka miasta, by utrzymać skalę zabudowy i nie dopuścić do zawłaszczania terenów nadbrzeżnych przez indywidualnych inwestorów. Tereny nadbrzeżne powinny być publicznie dostępne. Ważne jest też, aby w Śródmieściu pojawiali się nowi mieszkańcy. Temu służyły m.in. plany miejscowe umożliwiające budowę Nowego Portu, Urzeczca czy Industarii na Bocianowie. Plany nie tylko usprawniają rewitalizację historycznej tkanki, ale również dają możliwość realizacji nowej zabudowy. Nie wiem, kto będzie moim następcą. Trochę się obawiam, bo wizje rozwoju i przekształceń miasta już dziś wśród pracowników Urzędu bywają skrajnie różne. Mam np. skrajnie inne poglądy na rozwój Bydgoszczy niż te, które prezentuje mój poprzednik na stanowisku dyrektora MPU - architekt Grzegorz Rosa, który dziś jest zastępcą dyrektora Wydziału Administracji Budowlanej i jednocześnie członkiem Miejskiej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej. Jeśli przeważą ta opcja, miasto będzie rozwijało się w innym kierunku. Nie mówię lepszym czy gorszym,

Trochę się obawiam, bo wizje rozwoju i przekształceń miasta już dziś wśród pracowników Urzędu bywają skrajnie różne.

bo to subiektywna ocena, ale ja z takim kierunkiem się nie zgadzam i nie będę się pod nim podpisywać.

Na etapie prac nad planami miejscowymi zainteresowanie mieszkańców jest różne. Czasem było wiele wniosków i uwag do dokumentów, przy innych mało lub dotyczy wąskiego obszaru. Po uchwaleniu zdarza się, że mieszkańcy bywają zaskoczeni inwestycjami? Na ile przez lata wzrosła świadomość mieszkańców z tego zakresu?

Zainteresowanie planami często inicjowane jest na forach społecznych. Dobrze, żeby mieszkańcy „trzymali rękę na pulsie” i interesowali się projektami planów. Czasem pomagało nam to w pracy, ale czasem tę pracę spowalniało. Nie spotkałam się ze zjawiskiem, aby po czasie mieszkańcy byli oburzeni czy zdziwieni jakąś inwestycją. Zabudowa, która powstaje w oparciu o plany miejscowe sporządzone w trakcie mojej pracy w MPU, jest wpisana w kontekst, poprzez regulacje dotyczące wysokości czy linii zabudowy. Można dyskutować nad jakością architektury, ale plany tego nie określają. Dbalność o architekturę obiektu to rola architekta wykonującego projekt budowlany. Plany miejscowe były bardzo wyważone, uwzględniające na równi interes publiczny jak i prywatny. Projekty przesyłane były do rad osiedli, by dać możliwość mieszkańcom zapoznania się z ich ustaleniami. Informacje o nich zamieszczaliśmy na forach społecznych. Staraliśmy się tworzyć podstawy dla harmonijnego rozwoju miasta, z poszanowaniem dla historycznego dziedzictwa, warunków środowiskowych, istniejących uwarunkowań. Według mnie, to w oparciu o szersze analizy powinno się ustalać w którym miejscu można budować wyżej, a gdzie nie. To powinno wynikać z opracowań urbanistycznych, a nie tylko z tego, że ktoś kupił działkę i właśnie na niej chce budować dominantę.

Patrząc na te blisko 15 lat działania, to w których częściach Bydgoszczy najbardziej widać, że udało się osiągnąć sukces dzięki działaniom MPU?

Całkowita zmiana wizerunku Starego Miasta, sukcesywne remonty kamienic Śródmieścia, rewitalizacja Starego Fordonu, tworzenie nabrzeży. Powrót zainteresowania terenami, które chociaż świetnie położone, latami „leżały odłogiem”, szpecąc okolicę, a gdzie dziś powstaje nowa zabudowa – Urzecze, Industria, Nowy Port... Budową pięknego gmachu Akademii Muzycznej z całym założeniem parkowym na zamknięciu osi ul. Paderewskiego. Plany

miejscowe bardzo przyczyniły się do modernizacji i remontów nie tylko kamienic ale i ważnych obiektów o charakterze publicznym: Młynów Rothera, Hali Targowej, Teatru Kameralnego. Miasto poprawia jakość zagospodarowania przestrzeni publicznych. Bydgoszcz w ostatnich latach znacząco zmieniła swój wizerunek. Dbłość o historyczną tkankę wydaje się najbardziej widoczną różnicą. Druga sprawa, mniej widoczna, to to, przed czym sta-

rałam się miasto uchronić. Wspomniana ochrona terenów pozachemowskich przed napływem zakładów grożących poważną awarią, przed budową spalarni odpadów niebezpiecznych. Tu często byłam w opozycji do pracowników Urzędu, wskazując na konkretne zapisy planów miejscowych zakazujące realizacji takich inwestycji.

Widzi pani miejsca, w których się nie udało, takie, które

będą szczególnie boleć po zakończeniu pracy w MPU? Szczególnie boli, że nie posłuchano mnie, gdy mówiłam, że Babia Wieś nie jest właściwym miejscem do lokalizacji takiego budynku jak Nordic Astrum. Żaden z opracowywanych w MPU dokumentów planistycznych nie przewidywał tak wysokiej zabudowy usytuowanej w miejscu tak eksponowanym z Mostu Staromiejskiego, tak blisko rzeki i w tak trudnym terenie. Inwestycja

powstaje w oparciu o decyzje WZIZT.

Jeśli chodzi o działania MPU, nie mogę powiedzieć, że coś się nie udało. Chciałabym tylko, by realizacja ważnych inwestycji przewidywanych w planach miejscowych następowała nieco szybciej.

Przed jakimi wyzwaniem będzie stał pani następca? Jakie zadania są teraz priorytowe?

Aktualnie najważniejszy jest Plan ogólny (akt prawa miejscowego, który zastąpi Studium uwarunkowań - przyp. red.). Jako jedno z pierwszych miast w Polsce przystąpiliśmy do jego tworzenia. Pewnie byłby już gotowy, ale zderzyliśmy się z negatywną opinią nowo powołanej przez Prezydenta Miejskiej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej, której Przewodniczącą jest dyrektor Wydziału Administracji Budowlanej architekt Katarzyna Łaskarzewska-Karczmarska, a jednym z członków zastępca dyrektora WAB-u architekt Grzegorz Rosa (autor projektu Nordic Astrum).

Ta różnica zdań to jeden z powodów decyzji o odejściu?

Tak, to jeden z powodów, ale nie jedyny. Nie da się współpracować przy tak skrajnie różnych poglądach. Nie mogą się podpisywać pod rozwiąza-

niami, z którymi kategorycznie się nie zgadzam. Nie mogłabym ich rekomendować radnym.

Mówiła pani o pewnych obawach związanych z następcą w MPU. Jaki wskazałaby mu pani kierunek, w którym powinien zmierzać?

Gdyby ktokolwiek był zainteresowany słuchaniem moich aktualnych rekomendacji, to nie rezygnowałabym z pracy dyrektora MPU. Wiem, że dziś mojego doradztwa nikt w tej kwestii nie oczekuje.

To może inaczej. Jakiego kierunku się pani obawia?

Dobry urbanista to trochę taki socjalista. Musi myśleć o jakości przestrzeni, harmonijnym rozwoju, dobru publicznym, wazeniu interesów, o tym, żeby ludziom się dobrze żyło. Jeśli się czegoś boję, to tego, że interes konkretnych inwestorów przeważa nad dobrem publicznym. Tego, że będzie wyżej, intensywniej, niezależnie od kontekstu, tylko dlatego, że ktoś wcześniej dostał decyzję o warunkach zabudowy i teraz trzeba to usankcjonować w planie ogólnym. Obawiam się też przyzwolenia na lokalizację zakładów grożących poważną awarią i zawsze znacząco oddziałujących na środowisko, czemu się sprzeciwiałam. Warto tego pilnować. ©

ANNA REMBOWICZ-DZIEKCIOWSKA

Tak o dyrektora Miejskiej Pracowni Urbanistycznej Bydgoszcz napisał portal samorządoweforum.pl

„Architektka i urbanistka z 38 letnim doświadczeniem zawodowym, dyrektorka Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w Bydgoszczy. Autorka wdrażanej w Bydgoszczy idei odwracania się miasta w stronę rzek, tworzenia w oparciu o system wodny (Brdę, Wisłę i Kanał Bydgoski) głównej osi rekreacyjno-wypoczynkowej miasta i realizacji w sąsiedztwie rzek atrakcyjnych przestrzeni publicznych (Wyspa Młyńska, nabrzeża Starego Fordonu,

bulwary nadrzeczne, parki i tereny zieleni sąsiadujące z rzekami i Kanałem). Kierowała zespołem opracowującym wiele dokumentów planistycznych i studialnych dotyczących polityki przestrzennej miasta, idei wykorzystywania walorów rzek Brdy i Wisły oraz odwracania się miasta ku wodzie, opracowań wskazujących kierunki rewitalizacji historycznej tkanki miasta („Program przywrócenia miastu rzeki Brdy”, „Estetyka i ład przestrzenny miasta Bydgoszczy”, „Kierunki działań służące rewitalizacji przestrzeni publicznych Sta-

rego Miasta w Bydgoszczy”, „Stary Fordon – Rewitalizacja funkcjonalno-przestrzenna”, „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego miasta Bydgoszczy” itd). Członkini Izby Architektów (od początku jej istnienia) oraz Izby Urbanistów (od początku istnienia, do czasu likwidacji Izby). Członkini Wojewódzkiej Komisji Urbanistyczno – Architektonicznej, organu doradczego Marszałka województwa Kujawsko-Pomorskiego. W latach 2016-2018 członkini Głównej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej (organu doradczego Ministra Infrastruktury i Budownictwa).



FOT. POLSKA PRESS

W latach 2003-2007 była Architektem Miasta Torunia. Główna projektantka wielu obiektów kubaturowych (domów opieki społecznej, obiektów służby zdrowia w tym szpitala Specjalistycznego w Chojnicach, budynków mieszkalnych i użyteczności publicznej, budynków wielorodzinnych itd), współautorka koncepcji budowy Tężni w Inowrocławiu.

REKLAMA

0011460142

Wyzwania Polski w praktyce: EEC Trends o priorytetach rozwojowych w nowym porządku

W czasie przełomu liczy się nie tylko diagnoza, ale przede wszystkim zdolność do sprawnego działania, podejmowania decyzji i budowania porozumienia wokół priorytetów. Gdy Europa wchodzi w etap głębokiej przebudowy reguł gry, a gospodarka mierzy się równocześnie z presją bezpieczeństwa, kosztów transformacji i rywalizacji technologicznej, uczestnicy EEC Trends, które odbyło się 9 lutego 2026 r. w Warszawie, dyskutowali o tym, jak przekuć polski potencjał w trwałą przewagę: od odpornej infrastruktury i energii, przez przemysł i regulacje, po kompetencje i demografię. Wnioski i rekomendacje z wydarzenia zasilą program XVIII Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

P EEC Trends przyciągnęło kluczowych przedstawicieli biznesu, rządu i świata polityki oraz ekspertów i praktyków, by w formule intensywnych debat zmierzyć się z pytaniem o miejsce Polski w dynamicznie przebudowującym się układzie geopolitycznym i gospodarczym. W centrum rozmów znalazły się bezpieczeństwo i odporność państwa, konkurencyjność gospodarki oraz warunki dla inwestycji, transformacji energetycznej, rozwoju technologii i rynku pra-

cy. Udział w wydarzeniu wzięło ponad 1600 uczestników, w tym blisko 1200 stacjonarnie.

– EEC Trends to miejsce, w którym porządkujemy najważniejsze sprawy tuż przed Europejskim Kongresem Gospodarczym. Skoncentrowaliśmy rozmowy wokół działań w obszarze bezpieczeństwa, inwestycji, energetyki i technologii, które pozwolą Polsce utrzymać tempo oraz zbudować trwałą przewagę konkurencyjną w Europie – mówi **Wojciech Kuśpik**, prezes Grupy PTWP, inicjator i organizator Europejskiego Kongresu Gospodarczego.

Otwarcie o wyzwaniach

Mocny start EEC Trends wypełniły rozmowy z przedstawicielami rządu. Uczestnicy usłyszeli perspektywę ministra aktywów państwowych **Wojciecha Balczuna**, zapowiedział fundamentalne zmiany w państwowych spółkach, ministra energii **Miłosza Motyki**, który z kolei przedstawił politykę energetyczną Polski do 2040 r. zakładającą funkcjonowanie dużej elektrowni jądrowej, małych reaktorów jądrowych i źródła odnawialne – taki mix ma przynieść naszej gospodarce niższe ceny energii. Na scenie wystąpił również Maciej Berek, minister ds. Nadzoru nad Wdrażaniem Polityki Rządu, przewodniczącego Komitetu Stałego Rady Ministrów, który zaznaczył, że powinniśmy



zacząć traktować deregulację jako zmianę w myśleniu urzędników i polityków odpowiedzialnych za stanowienie prawa za miast jako znoszenie barier.

Sesja inauguracyjna **Polska i Europa – czas na nowy porządek** otworzyła debatę o gospodarce w realiach geopolitycznej przebudowy – między chaosem a poszukiwaniem nowej równowagi. Uczestnicy rozmawiali o tym, jak w warunkach rywalizacji

mocarstw, wojen, migracji i kolejnych kryzysów budować bezpieczeństwo, niezależność i odporność, nie tracąc tempa rozwoju i konkurencyjności. Punktem odniesienia były zarówno ambicje Polski – w tym realny wymiar awansu do gospodarczej elity – jak i nowe możliwości dla biznesu: inwestycje, ekspansja zagraniczna, cyfryzacja oraz rola Polski jako zaplecza produkcyjnego Europy i potencjalnego hubu dla Ukrainy.

W programie znalazły się też debaty o energetyce, cyfryzacji, local contencie, inwestycjach publicznych, bezpieczeństwie, odporności i przemyśle, odpornej infrastrukturze i demografii. Wnioski wypracowane podczas rozmów posłużą jako podstawa debat Europejskiego Kongresu Gospodarczego.

Wieczorną częścią EEC Trends była uroczysta gala **WNP Awards** – prestiżowych wyróżnień redak-

cji portalu WNP dla osób, instytucji i firm, które realnie kształtują kierunki rozwoju polskiej gospodarki. Statuetki trafiły do: Atlas Ward Polska, Beyond.pl, Cognor i Elemental, Grupy WB, KUKI i Banku Gospodarstwa Krajowego, aplikacji mObywatel, SEEN Technologie, Grupy TAURON, Trigon i Quercus.

Retransmisje z debat dostępne są na stronie wydarzenia: **www.trends.eecpoland.eu**.



Jarosław Reszka

MINAŁ TYDZIEŃ PRZEPISY SWOJE, A BUTELKOMAT I OBSŁUGA SWOJE

co, mają już Państwo pierwsze doświadczenia w zbiorce i zwrocie opakowań objętych kaucją? Ja mam, a moje wrażenia określiłbym jako lekko... śmieszne.

Opakowania ze znaczkiem kaucji zaczęły się częściej pojawiać na sklepowych półkach, więc trzeba sobie wyrobić nawyk dokładnego przyglądania się etykietkom w poszukiwaniu charakterystycznego prostokątka ze strzałkami. Przy okazji, można by nakazać lub przynajmniej zasugerować producentom, by ten znaczek bardziej

wyróżniał się na tle etykietowego otoczenia - na przykład jaskrawym kolorem. Ja niestety o studiowaniu etykiet wciąż jeszcze zapominam i parę razy zdarzyło mi się już zmiąć pustą plastikową butelkę, za którą mógłbym odzyskać 50 groszy.

Inna sprawa, że zachowanie w idealnym stanie niektórych butelek wymaga paluszków pianisty. Przykładem wody źródlanej, które nierzadko sprzedawane są w tak cienkim plastiku, że półtoralitrowe butelki typu pet gną się jeszcze przed zużyciem wody. Jedną z przypadkowo zgniecionych butelek po-

stanowiłem wskazze na powrót uformować, by sprawdzić, jak na taki produkt „drugiej świeżości” zareaguje butelkomat.

Okazja do testu pojawiła się wkrótce. Jako stały klient pobliskiego marketu dostałem SMS-a od szefa tej placówki z informacją, że butelkomat (nazwany przez niego paskudnie recyklo-matem), który od wielu tygodni beczynnie wylegiwał się na śniegu przed sklepem, został wreszcie uruchomiony. Zapakowałem więc w torbę 17 zebranych petów, w tym jeden nieco felerny, i ruszyłem w stronę butelkomatu.

Radość szefa i moja okazała się jednak przedwczesna. W maszynie wprawdzie kolorowo jarzył się wyświetlacz, lecz napis na nim pokazywał znak drogowy, bodajże zakaz wjazdu, opatrzone wyjaśnieniem, że maszyna z jakiegoś powodu jest nieczynna i w tej sprawie klient powinien skontaktować się z obsługą sklepu. Tak też uczyniłem. Panie w kasach nie wydawały się zaskoczone zgłoszeniem awarii butelkomatu. Jedną z nich zaraz zadzwoniła po kolejną parą, nazywaną przez kasjerki Kierowniczką. Ta ostatnia zaś bez

słowa założyła gustowna kufajkę i oboje ruszyliśmy na mróz, pod odmawiającą współpracy maszynę.

Kierowniczką, przysną, była doskonale obeznana z butelkomatem, więc po krótkiej operacji przy sterowniku ten wyświetlił hasło do wrzucania butelek. Kierowniczką sobie poszła, a ja zacząłem działać. Zdeformowanego peta postanowiłem wrzucić jako trzeci. Ku mojemu zdziwieniu maszyna połknęła go bez grymasów i do rachunku doliczyła kolejne pół złotówki. Wniosek z tego jest prosty: nie traćmy

nadziei, gdy przez pomyłkę uszkodzimy butelkę. Być może inne butelkomaty będą równie łaskawe.

Największe zaskoczenie wciąż było jednak przede mną. Wrzucałem kolejne butelki. Przy trzynastej z nich (ach, ta trzynastka!) butelkowy potwór nie połknął zdobyczy, tylko wyświetlił komunikat: „Pojemnik pełny - powiadom obsługę”. Połknąłem jeszcze raz do wnętrza sklepu. I znów dane mi było spotkać się Kierowniczką. A ta zarzuciła na ramiona kufajkę i ruszyła na pomoc.

Teraz nastąpi wielki finał mojej opowieści. Co tym razem zrobiła Kierowniczką? Otóż otworzyła butelkomat, wsadziła szczupłą dłoń do stalowego pojemnika i... kilka razy mocno przycisnęła stertę wypełniających go plastików, czyniąc tym samym miejsce na kolejne zwroty. Po czym zamknęła butelkomat, a ja już bez przeszkód wrzuciłem doń resztę petów, zastanawiając się, jak to naprawdę jest z koniecznością zwrotu niezgniecionych opakowań.

Na podstawie jednej maszyny, jednej Kierowniczką i jednego zdarzenia nie można wyciągać ogólnych wniosków. Na razie jednak skłaniam się ku przekonaniu, że jak to w naszym kraju często bywa - teoria i przepisy swoje, a życie swoje. ©

Komunikat, który często gości na ekranie butelkomatu. Cena popularności tej maszyny?



FOT. JAROSŁAW RESZKA



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

POROZMAWIAJMY O KONTROLI I O JAKOŚCI

Ostatnio wpadła mi w ręce praca profesora Józefa Gawlika, byłego rektora Politechniki Krakowskiej i mojego Przyjaciela, zatytułowana „Rozważania o jakości”. Temat wydał mi się ciekawy, więc postanowiłem podzielić się niektórymi przemyśleniami z czytelnikami tych felietonów.

Zacznę od stwierdzenia, że w naszych działaniach, wyborach, dążeniach itp. duże znaczenie ma zwykle ilość. Ile pieniędzy trzeba wydać, ile produktów kupić, ile kilometrów przejechać, ile czasu spędzić... Oceny ilościowe decydują o tym, co robimy, czego unikamy, jakich dokonujemy wyborów i jakie cele sobie wyznaczamy do osiągnięcia.

Czasem jednak dochodzimy do wniosku, że naszymi decyzjami i działaniami powinna także kierować troska o jakość. Nie tylko oceniana na zasadzie dychotomii - to jest dobre, a tamto złe. Czasem pojęciu jakości warto próbować nadać pewną miarę. To jest lepsze od tamtego - intuicyjnie nie mamy wątpliwości, że taka miara jest potrzebna, chociaż nie wyrażamy jej ilościowo, w odróżnieniu od na przykład masy. Co więcej, intuicyjnie także wiemy, że miara jakości może być zarówno dodatnia, jak i ujemna. Jedno jest - jakościowo - pozytywne, a inne jest negatywne.

Spróbujmy jednak spojrzeć na kwestię jakości naukowo.

Pierwszym człowiekiem, który zajął się próbą ścisłej definicji jakości, był Platon (400 lat przed Chrystusem). Twierdził on, że „jakość to stopień osiągniętej przez obiekt doskonałości”. Definicja ładna, ale niepraktyczna, bo jak mierzyć ów stopień osiągania przez obiekt doskonałości?

Praktykę oceny jakości wprowadził handel. Jakość towarów czy usług mogła być mierzona tym, w jakim stopniu nabycie owych towarów czy usług zaspokajało potrzeby kupującego. Tak to funkcjonowało przez stulecia i mimo częstych konfliktów między sprzedającymi i kupującymi na tle odmiennej oceny jakości konkretnego towaru czy usługi - nikt specjalnie nie dążył do tego, żeby pojęcie jakości dokładniej sformalizować.

Dopiero w XX wieku w związku z rozwojem produkcji masowej i handlu pojawiła się potrzeba lepszego sformalizowania pojęcia jakości w stopniu przydatnym między innymi przy sporach jednostek gospodarczych kończących się postępowaniem sądowym.

Próby naukowej definicji jakości podjął Armand Vallin Feigenbaum. Najpierw jako dyrektor General Electric Company wprowadził takie zarządzanie podlegającą mu firmą, które jako nadrzędną wartość wprowadziło nie ilość wyprodukowanych towarów, tylko ich jakość.

Jego praca została doceniona także przez innych przedsiębiorców, w wyniku czego Feigenbaum został prezesem American Society for Quality (Amerykańskiego Stowarzyszenia Jakości). Jego wkład polegał głównie na tym, że w 1996 roku wprowadził koncepcję Total Quality Control (TQC). Koncepcja ta może być tłumaczona jako całkowite sterowanie jakością. Angielskie „total” oznacza kompleksowość i akcentuje, że zagadnienie dotyczy wszystkich pracowników niezależnie od zajmowanej pozycji w organizacji. Słowo „quality” to jakość, która jest nadrzędnym celem koncepcji, „control” dotyczy natomiast sterowania procesem.

Koncepcje Feigenbauma stały się podstawą do uregulowań prawnych. Na przykład norma ISO 9000:2000 definiuje jakość zgodnie z koncepcją Feigenbauma jako „stopień, w jakim zestaw naturalnych właściwości wyrobu, usługi, systemu lub procesu, spełnia wymagania klienta lub innych stron zainteresowanych”.

Drugim wybitnym teoretykiem, który przyczynił się do rozwoju naukowych pojęć związanych z koncepcją jakości, był Karoru Ishikawa, profesor Uniwersytetu Tokijskiego. Opracował on specjalne diagramy pozwalające wykrywać przyczyny, gdy wykryty jest fakt złej jakości. Wprowadził także tzw. koło jakości.

Warto myśleć czasem o jakości!

ZDJĘCIE TYGODNIA



Kwalifikacja wojskowa. Cel - wprowadzenie danych do ewidencji wojskowej i określenie zdolności fizycznej i psychicznej do pełnienia służby wojskowej

FOT. ARKADIUSZ WOJASIEWICZ

KACPER TOMASIAK SREBRO

19-latek stał się nagle bohaterem całego kraju. Mało kto wierzył, że Kacper Tomasiak, który nie wygrał żadnych zawodów w Pucharze Świata, może sięgnąć po medal olimpijski. A jednak. Tymczasem udźwignął presję po pierwszej serii. I w drugiej był jeszcze lepszy! Co o tym zadecydowało? Str. 14-15

PULS
#203



Zdobycie srebrnego medalu olimpijskiego przez absolwenta Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Buczkowicach i wychowanka LKS Klimczok Bystra wlało w serca nie tylko kibiców skoków narciarskich nadzieję, że skromny chłopak z Beskidów dostarczy nam takich emocji jak kiedyś Adam Małysz czy Kamil Stoch

Jacek Drost

KACPER TOMASIAK MA SREBRO. A BESKIDY PEKAJĄ Z DUMY: TEN CHŁOPAK TO ZŁOTO



- Ma naprawdę niesamowitego kopa - mówi o nim z entuzjazmem Adam Małysz. - Jest poukładany i ma bardzo silną psychikę

Cieszymy się, duma rozpiera. Jeszcze nie wiemy, jak powitamy brata. Coś trzeba będzie wymyślić - śmiał się Konrad Tomasiak, którego we wtorek spotkaliśmy przed Szkołą Mistrzostwa Sportowego w Buczkowicach, gdzie jeszcze do niedawna chodził także jego brat Kacper, od poniedziałkowego wie-

czoru wicemistrz olimpijski w skokach narciarskich. Chwilę wcześniej na przyskolkowym parkingu Konrad spotkał swoich kolegów ze szkoły. Któryś rzucił z uśmiechem „Ale jaja!”, mając na myśli wyczyn Kacpra. Ktoś przybił piątkę. Ktoś przywitał się z Konradem na misia. Jest się z czego radować! Medale olimpijskie zdobyte przez naszych

zawodników czy zawodniczek, zwłaszcza w dyscyplinach zimowych, to nie żadna oczywistość, ale nie łąda wyczyn, taki sportowy biały kruk, na który czeka się latami i który wspomina się przez dekady.

Cisza i duma

W buczkowickiej Szkole Mistrzostwa Sportowego

z pięknym widokiem na góry, gdzie uczył się Kacper, uczy się jego brat Konrad, ich rodzice są nauczycielami, a ze ścian spoglądają portrety znanych absolwentów, w tym Piotra Żyły czy Stefana Huli, we wtorek od samego rana panowała cisza jak makiem zasiał. Jakby trwały ferie. Jakby wczoraj nie wydarzyło się to, co się wydarzyło.

Jednak w tej szkole cisza przed południem to nic dziwnego, bo od rana uczniowie jeżdżą na treningi - zimą na trasy narciarskie na Skrzyczem, będącym najwyższym szczytem Beskidu Śląskiego, malowniczą Kubalonkę, a także skocznię w Skaliem czy potężny obiekt imienia Adama Małysza w Wiśle Malince. Typowe zajęcia zaczynają się dopiero około południa. Wtedy też można usłyszeć uczniowski gwar.

Jednak we wtorek rano na twarzach personelu widać było nieukrywaną radość i dumę z wyczynu Kacpra, a pani dyrektor dwoiła się i troiła, żeby udzielić kolejnego wywiadu.

- To niewyobrażalne emocje, niewyobrażalne przeżycia. Jestem w tej szkole nauczycielką, germanistką od początku, czyli od 1999 roku, i było wiele radości z medali mistrzostw świata i mistrzostw Europy, to także nasz kolejny medal olimpijski, ponieważ Stefan Hula zdobył drużynowo, w 2018 roku, brąz, ale na indywidualny medal czekaliśmy 26 lat! Czegoś takiego nie przeżyłam! Dzisiaj nie ma zajęć. Świętujemy. Integrujemy się - opowiadała z przejęciem pełniąc obowiązki dyrektorki szkoły Iwona Męcner.

Gorąca atmosfera w szkolnej strefie kibica

Dyrektorka opowiadała, że w poniedziałek wspólnie ze wszystkimi uczniami, trenerami i nauczycielami zrobili w internacie strefę kibica i czekali na popisy polskich skoczków. Przed godziną 19.00 emocje sięgnęły zenitu.

- Po pierwszej serii skoków było bardzo emocjonująco i stresująco, bo wtedy zaczęliśmy wierzyć, że medal jest w zasięgu ręki. A jeszcze specjalista, trener Kacpra w Szkole Mistrzostwa Sportowego, Sławomir Hankus napisał mi, że jak skoczy 104 metry, to mamy medal. Zaczęłam więc myśleć, co my z tym zrobimy, w ogóle nie jesteśmy przygotowani do świętowania - dodała pani dyrektor.

Iwona Męcner uczyła Kacpra przez sześć lat. Nie ukrywa, że jego sposób bycia, spokojne usposobienie robiły wrażenie.

- To wszystko, co się o nim mówi, jest prawdą. Zawsze skoncentrowany, zawsze ambitny, zawsze spokojny, bardzo dobrze wychowany i z wartościami już niemodnymi w tym świecie, a jednak pokazuje całemu światu, że taka postawa i zachowanie dają ogromne sukcesy - komentowała absolwenta buczkowickiej SMS (wicemistrz olimpijski skończył tę szkołę w ubiegłym roku) Iwona Męcner.

Przed salą gimnastyczną pojawiło się kilku uczniów.

Przygotowywali się do treningu. Spytałem ich o nastroje.

- Bardzo dobre. Idziemy na trening. Będziemy ciężko ćwiczyć, by pójść w ślady Kacpra. Znam go od dawna. To bardzo dobry i doświadczony zawodnik. Dobrze znosi sukcesy. Wydaje mi się, że na srebrze się nie skończy - dzielił się swoimi przemyśleniami Maksymilian Sierek. Trenuje skoki narciarskie od sześciu lat. Zraził się nimi po sukcesach Kamila Stocha. - Do olimpiady jeszcze mam daleko, ale kiedyś się uda. Wierzę w siebie - rzucił Maksymilian.

- Wszyscy w szkole oglądaliśmy skok Kacpra. Atmosfera była niesamowita. Liczyliśmy na dobry wynik i udało się - cieszył się Jakub Ceburat. Również trenuje skoki, również zraził się tą dyscypliną po sukcesach Stocha. Nie ukrywa, że srebrny krążek Kacpra tylko motywuje go do dalszych treningów. - Trzeba z niego brać przykład - podkreślał Kuba.

W szkolnej stołówce trwały przygotowania do wydawania posiłków. Po kuchni krzątała się Anna Cędrzak.

- Ogromnie się cieszymy. Duma rozpiera. To zaszczyt dla szkoły. Wczoraj były łzy - zwierzała się pani Anna. - Ale też mądrzy rodzice, fajnie go prowadzą. To strasznie spokojny, silny psychicznie chłopak. Naprawdę - podkreślała.

W gabinecie fizjoterapii spotkałem Daniela Hankusa, fizjoterapeutę Szkoły Mistrzostwa Sportowego i Polskiego Związku Narciarskiego.

- Zaskoczenie jest, choć jak obserwowaliśmy Kacpra podczas czynności, to liczyliśmy na piętnastkę, a zaskoczył nas jeszcze bardziej. Oglądałem to wszystko w domu z bratem Sławkiem Hankusem (kombinator norweski, trener - red.). Pół nocy nieprzespane, bo wszystko analizowaliśmy. Bardzo się cieszymy. Cieszę się, że mogłem się też troszeczkę do tego przyczynić jako fizjoterapeuta, bo od czasu do czasu także wspierałem Kacpra - opowiadał Daniel Hankus.

Bartłomiej Kłusek, trener LKS Bystra Klimczok i SMS Szczyrk, który prowadził świeżo upieczonego wicemistrza olimpijskiego, przyznał, że tacy uczniowie jak Kacper zdarzają się bardzo rzadko.

- Kacper to bardzo ułożony zawodnik, od małego. Skoki to był taki jego konik. Cieszyło go to. Jak przyszedłem do klubu w 2018 roku, to Kacper skakał na małych skoczniach K-30, już wygrywał, zdobywał medale. Skocznie się zmieniały, kategorie także, a Kacper zawsze był z przodu. Od początku było widać, że ma tę iskrę bożą. Trenował go, trzeba to także podkreślić, trener Jarosław Konior - opowiadał Bartłomiej Kłusek.

Przyznał, że jak w poniedziałek Kacper wskoczył



Kacper w Zakopanem z Dawidem Kubackim podczas Konkursu Duetów Pucharu Świata

na pudło, to łezka w oku się zakręciła.

- Dla klubu to także wielki sukces. Jeszcze takiego nie było. Mieliliśmy zawodników na olimpiadzie, ale nikt nie przywiózł medalu - mówił trener Kłusek.

Kacper posługiwał przy dzwonekch, ampułkach

O Kacprze Tomasiaku trudno usłyszeć złe słowo. Wszyscy chwalą jego skromne zachowanie, skupienie na sporcie, zwracają także uwagę na jego religijność.

- Piękna sprawa - wstąpił krótko ksiądz Przemysław Gawlas, diecezjalny duszpasterz służby liturgicznej w kurii bielsko-żywieckiej, mając na myśli srebro wywalczone przez Kacpra. - Emocje były ogromne i łyż wzruszenia, bo bardzo mocno wierzyliśmy w sukces naszego ministranta. Cała noc nieprzespana. Myślę, że ministranci z całej diecezji bielsko-żywieckiej są szczęśliwi, iż kolega, który służył przy ołtarzu, taki piękny wynik osiągnął w tak młodym wieku - opowiadał ks. Gawlas.

Kacper został ministrantem w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa, która znajduje się przy dworcu PKS w Bielsku-Białej, już kilka lat temu, jakoś po swojej I komunii świętej.

- Zawsze był solidny, dojrzały jak na swój wiek. Wiadomo, że w zakrystii różnie bywa, chłopcy dają w „pióra”, ale Kacper zawsze był spokojnym ministrantem. Pilnował swoich dyżurów, jak tylko mógł, to przychodził. Jak każdy ministrant, posługiwał przy dzwonekch, ampułkach. Wiadomo, że w ostatnim czasie coraz rzadziej służył ze względu na treningi i wyjazdy, ale jest radość i szczer-

ście, że przy ołtarzu służył wicemistrz olimpijski - podkreślał ksiądz.

Duchowny dodał, że cała rodzina Tomasiaków jest zaangażowana w życie kościelne. Młodszy brat Kacpra także jest ministrantem, rodzice udzielają się w Oazie Rodzin, a siostra we wspólnocie Dzieci Maryi.

- To rodzina, w której Pan Bóg jest ważny - dodał ks. Przemysław Gawlas.

Proboszcz parafii św. Bartłomieja w Lipowej, ks. Jan Kuźmicki, przyznał w rozmowie z „Dziennikiem Zachodnim”, że poznał rodziców skoczka, ale jeszcze nie miał okazji spotkać się z Kacprem, bo cały czas jest w rozjazdach.

Ks. Jan Byrt, proboszcz parafii ewangelickiej w Szczyrku Salmopolu, który uczy w Szkole Mistrzostwa Sportowego, także cieszy się z sukcesu absolwenta buczkowskiej szkoły. W mediach społecznościowych przypomniał, że w niedzielę, 8 lutego, odprowadził go w Polsce ekumeniczne nabożeństwo olimpijskie, podczas którego modlili się za naszych reprezentantów uczestniczących w igrzyskach.

- Alleluja! Bóg jest niesamowity, prawda! Można? Można! - napisał ks. Byrt. Dodał, że jeden z internautów napisał mu w komentarzu, że zobaczymy, czy się uda. - Wczoraj się przekonał, że tak! Jesteśmy pewni, że Jezus Chrystus żyje i wysłuchuje modlitw!



Ksiądz Jan Byrt, pochwalił się zdjęciem ze świeżo upieczonym wicemistrzem olimpijskim na swoim profilu FB, wychwalając Kacpra i jego zaangażowanie pod niebiosa

chuje modlitw! Chwała Panu Bogu Jezusowi Chrystusowi - podkreślił duchowny.

Sąsiedzi trzymają kciuki za Kacpra

Tomasiakowie od jakiegoś czasu mieszkają w malowniczej miejscowości leżącej w Kotlinie Żywieckiej, pomiędzy Bielskiem-Białą a Żywcem. Gdzie się człowiek nie obejrzy, to albo widać z niej pasmo Beskidu Małego, albo Beskidu Żywieckiego, albo Beskidu Śląskiego z najwyższym szczytem Skrzycznem. Po prostu jest tu pięknie.

Wprowadzili się niedawno. Są mili. Cieszymy się z takiego sąsiada - mówi spotkana na przystanku autobusowym pani Krystyna.

Sąsiad Tomasiaków, pan Zbigniew, stwierdził, że sam mieszka tutaj od niedawna. Zna się z nimi z widzenia, ale uwielbia skoki narciarskie od czasów Małysz i Stocha, więc Kacprowi kibicuje tym bardziej.

- Bardzo kibicujemy Kacprowi, bo to człowiek od nas. Na dodatek młody. Coś pięknego! Serce wczoraj rośnie i rośnie! - zwierza się pan Zbyszek.

Zwyczajny niezwykły chłopak

Kacper ma już za sobą maturę, którą zdał jako 18-latek. W podstawie z polskiego, matematyki i angielskiego z egzaminu dojrzałości dostał ponad 90 procent. Jego ulubionym przedmiotem był angielski, a obecnie Tomasiak studiuje na Akademii Kultury Fizycznej w Krakowie na pięcioletnich studiach magisterskich w kierunku wychowanie fizyczne, gdzie ma indywidualny tok studiów. Jak sam mówi, na hobby nie ma za bardzo czasu,

ale lubi poczytać książki, obejrzeć film, pograć na komputerze, albo po prostu wyjść na spacer.

Swoją przygodę ze skokami zaczynał jako 6-latek. Ćwiczył na skoczni wysypanej trocinami, skacząc na przyciętych

nartach, bo mniejszych nie było. Pierwszy raz wystartował w zawodach na malutkiej skoczni w centrum Wisły. Od początku jego silną stroną było mocne odbicie. Później do tego doszła też mocna psychika.

KACPER W DRODZE NA PODIUM

Kacper Tomasiak z LKS Klimczok Bystra urodził się 20 stycznia 2007 roku w Bielsku-Białej.

W tym sezonie, nieoczekiwanie, został liderem kadry i jej jedyną nadzieją na przyzwoity występ we włoskich igrzyskach. W 2019 roku został mistrzem świata dzieci, w 2023 wicemistrzem świata juniorów w drużynie i zajął czwarte miejsce indywidualnie, a w 2025 triumfował w Letnim Pucharze Kontynentalnym. Został powołany do kadry na Puchar Świata i wszedł do niej z impetem. W swoim debiucie 22 listopada w Lillehammer wyskakał 18. miejsce. Cztery razy plasował się w czołowej dziesiątce, w tym dwukrotnie na piątym miejscu, co jest najlepszym polskim wynikiem sezonu. W Turnieju Czterech Skoczni też był blisko TOP-10, skończył się na dwunastej pozycji. Taką samą zajmuje też w Pucharze Świata. Statystycy sprawdzili, że co najmniej podobną liczbę punktów Kamil Stoch i Piotr Żyła zgromadzili dopiero w swoich ósmym sezonach w PŚ, a Dawid Kubacki w dziesiątym. Imponuje spokojem i odpornością na stres.

Nic dziwnego, że Kacper Tomasiak był naszą największą medalową nadzieją w konkursie skoków na skoczni normalnej. Zawodnik LKS Klimczoka Bystra potwierdził, że w tym sezonie jest najlepszym polskim skoczkiem i w swoim olimpijskim debiucie stanął na podium igrzysk Mediolan-Cortina 2026.

Po I serii zajmował fantastyczne 4. miejsce ex aequo ze Szwajcarem Gregorem Deschandenem, tracąc do podium tylko 0,1 pkt. W finale spisał się jeszcze lepiej i awansował na drugą lokatę, przegrywając tylko z Niemcem Philippem Raimundem o 3,4 pkt.

Adam Małysz, prezes Polskiego Związku Narciarskiego, nie krył radości po zdobyciu przez Kacpra Tomasiaka srebrnego medalu olimpijskiego.

- Ma naprawdę niesamowitego kopa. Jest poukładany i ma bardzo silną psychikę - ocenił prezes krajowej federacji. Dopatrując się technicznych podobieństw, Małysz przyrównał Tomasiaka do Piotra Żyły, ale... sprzed 25 lat. Zaznaczył, że nie obawia się, że olbrzymi sukces złe wpłynie na Kacpra. - On pochodzi z bardzo fajnej rodziny. Rodzina naprawdę go bardzo mocno wspiera. Tata jest trenerem - powiedział Małysz.

Jacek Sroka, PAP



Wszyscy kibicowali, panie kucharki w szkolnej stołówce też

*O KACPRZE TOMASIAKU
TRUDNO USŁYSZEĆ ZŁE SŁOWO.
WSZYSCY CHWALĄ JEGO SKROMNE
ZACHOWANIE, SKUPIENIE
NA SPORCIE, RELIGIJNOŚĆ*

Panie profesorze, nie chciałybyśmy odczarowywać tak zupełnie zakochania i miłości. Dobrze, nie będziemy tego robić.

Tylko jak tu o tym rozmawiać z biologiem, który sam mówi, że zakochanie to złożony proces biologiczny i emocjonalny, który prowadzi do zmian w mózgu?

Zakochanie i miłość to specyficzne stany rozgrywające się w naszej psychice, a więc w mózgu, a przez to można spojrzeć na nie z perspektywy neurobiologicznej. Ale to, że możemy zakochanie opisać językiem nauki, nie sprawia, że to, co przeżywamy, przestaje być wyjątkowe i prawdziwe. Emocje są prawdziwe, pragnienia, świadome myśli. Wszystko na dodatek bardzo indywidualne, bo dotyczące wyjątkowej osoby zakochującej się w innej unikatowej osobie. Neurobiologia odkrywa pewien wspólny wzorzec, pewien ogólny mechanizm, który charakteryzuje wszystkie zakochane osoby, ale tak jak namalowanie pejzażu nie odbiera piękna przyrodzie, tak opisanie naukowo zakochania nie ma na celu niszczenia romantycznej miłości. Naukowy opis jednym pozwala zrozumieć, inni mogą traktować to jak ciekawostkę, a każdy może dzięki temu nabrać przekonania, że mimo całej naszej różnorodności, są rzeczy, które nas wszystkich łączą i upodabniają do siebie. Jedną z tych rzeczy jest właśnie miłość.

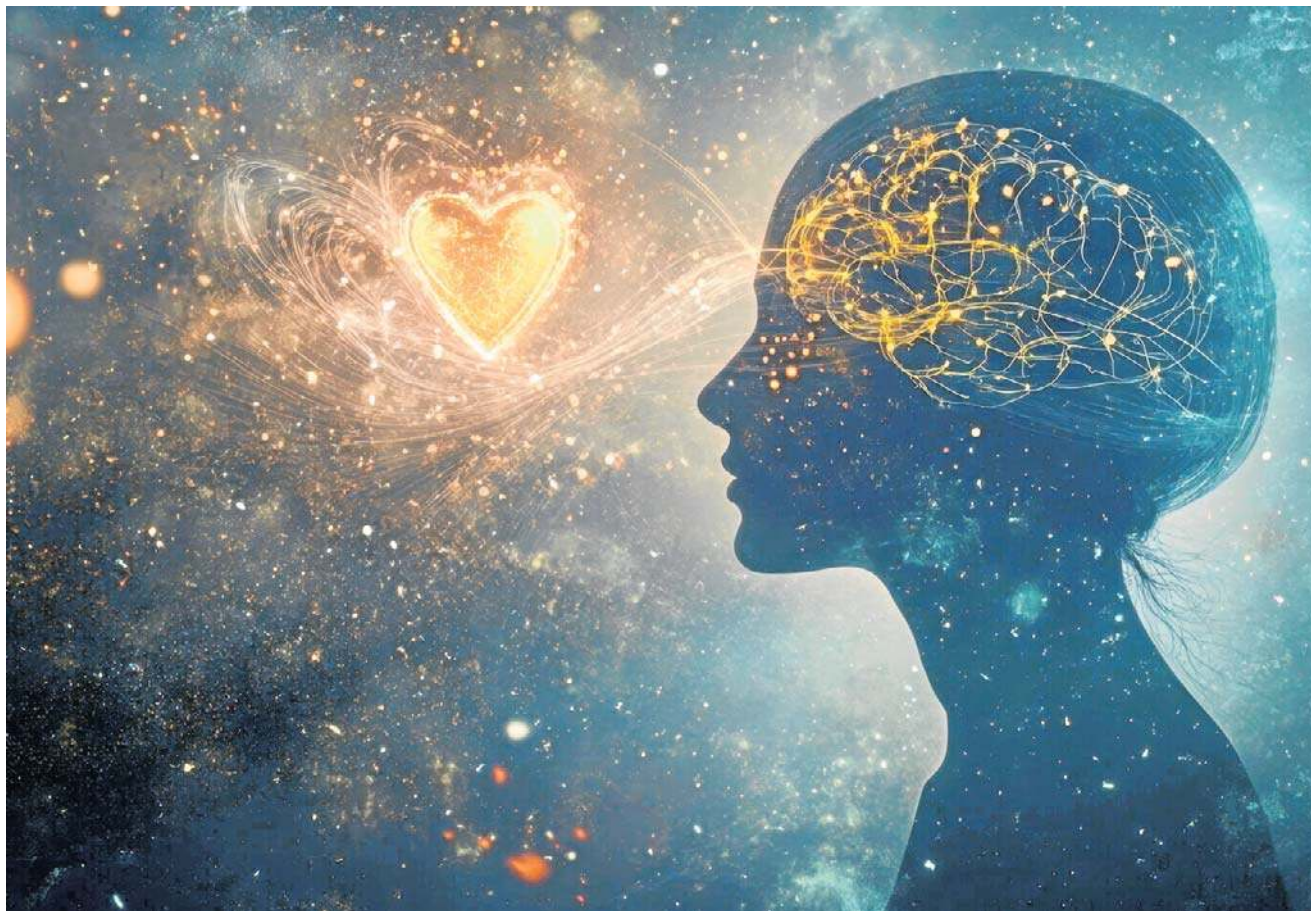
No właśnie, bo zakochanie i miłość to procesy bardzo demokratyczne: wszyscy przeżywamy je tak samo, niezależnie od płci, wieku, niezależnie od statusu społecznego, wykształcenia, prawda? Tak, dostrzegamy to podobieństwo, ponieważ zakochanie i miłość opierają się na wspólnych dla wszystkich mechanizmach neurobiologicznych. Możemy różnić się intensywnością przeżywania zakochania, kulturowo uwarunkowanymi zachowaniami towarzyszącymi nam podczas tworzenia więzi i tym, jak definiujemy i opisujemy miłość słowami, ale zasadniczo mechanizm neurobiologiczny jest wspólny.

Zakochujemy się dlatego, że chcemy mieć potomstwo. Tak to wygląda?

Tak, jeżeli spojrzeć na to z perspektywy ewolucyjnej. Zaloty, gody, czy nasz ludzki warianant zwany zakochaniem utrwalili się jako procesy, które okazały się skuteczne w tworzeniu silnych i trwałych więzi. Wiąż z kolei – poza wszystkimi innymi zaletami – sprzyjała również skutecznej prokreacji. I w ten sposób te

– Ci, którzy obawiają się miłości, powinni wystrzegać się zwłaszcza nowych sytuacji i kontraktu z nowymi, nieznanymi ludźmi. Nasz mózg zawsze ocenia to, co się dzieje i osoby, które mogłyby być teoretycznie naszymi partnerami przez pryzmat naszych aktualnych potrzeb – mówi prof. Wojciech Glac, neurobiolog z Uniwersytetu Gdańskiego

Dorota Kowalska



Prof. Glac: Wszystko może mieć znaczenie dla siły pobudzenia emocji, które bywa początkiem drogi ku zakochaniu

PROF. GLAC: RACJONALNI LUDZIE TEŻ MOGĄ STRACIĆ GŁOWĘ I ZAKOCHAĆ SIĘ BEZ OPAMIĘTANIA

mechanizmy na tyle się utrwały, że są tak powszechne. Ale choć zakochanie i pożądanie seksualne mają dużo wspólnego, ponieważ jedno wspiera drugie, to stany mogą być jednak przeżywane oddzielnie.

Co decyduje o tym, że wybieramy z tłumu tę konkretną osobę?

Bardzo trudno określić to jednoznacznie i znaleźć jakiś wspólny wzorzec. Z perspektywy mózgu, nadawanie komuś waloru atrakcyjności to

proces bazujący na wielu skojarzeniach, utrwalaonych preferencjach i być może pewnych wrodzonych predyspozycjach. W toku naszego życia gromadzimy mnóstwo doświadczeń, nasz mózg mimowolnie kojarzy pewne ludzkie

cechy, jak ton głosu, kolor włosów, kształt twarzy itd. z czymś pozytywnym lub negatywnym w zależności od doświadczeń, jakie mieliśmy z osobami mającymi te różne cechy. Dodatkowo utrwalamy pewne kanony

piękna, atrakcyjności, cechy uznawane jako pożądane dla partnera czy partnerki. Na to wszystko wpływ ma dodatkowo kontekst, w jakim kogoś spotykamy, nasza osobowość, nasz aktualny stan emocjonalny, zaistnienie lub nie jakiejś synchronizacji emocji, zachowań czy myśli między nami a potencjalnymi partnerkami i partnerami. Czasem duże znaczenie może mieć zaskoczenie, efekt nowości, kiedy nasz mózg nie spodziewa się spotkania potencjalnego partnera. Taki stan może dodatkowo wzmacniać nasze reakcje. Tak więc dosłownie wszystko może mieć znaczenie dla ostatecznej siły pobudzenia emocjonalnego, które może być początkiem drogi ku zakochaniu.

Dobrze, to co się dzieje w naszym mózgu w momencie, kiedy się zakochujemy? Bo pan powiedział zdanie, które jest dla mnie trochę zagadką, powiedział pan, że jesteśmy ostatnimi, którzy dowiadują się o tym, że właśnie się zakochaliśmy.

Świadomość tego stanu pojawia się na końcu, bo proces ten jest inicjowany w obrębie struktur mózgu, które działają do pewnego stopnia automatycznie i autonomicznie. Innymi słowy tak długo, jak długo pozostajemy tego nieświadomi, nie mamy na nie wpływu. A to właśnie te struktury kolorują emocjonalnie tę osobę jako atrakcyjną, to one tworzą strategię naszego działania i odpowiadają za motywację do zbliżenia się do tej osoby. Kiedy ta strategia i napęd się wytworzą, wówczas zaczynamy przez ich pryzmat patrzeć na rzeczywistość i na tego kogoś. Czyli dopiero w drugim etapie zaczynamy świadomie czuć to, co czujemy.

Czyli nasz mózg zakochuje się przed nami?

Nie oddzielając nas i naszej psychiki od mózgu, możemy przyjąć pewne uproszczenie dotyczące pracy mózgu, zgodnie z którym nasza świadomość jest kontrolerem tego, czy rzeczywistość zgadza się z oczekiwaniami. Idąc tym tropem, w naszym mózgu na widok danej osoby nieświadomie tworzy się oczekiwanie, że ta osoba jest super kandydatem czy kandydatką na stworzenie z nią więzi. Po ułamku sekundy ta postawa staje się świadoma i wówczas przychodzi moment na ewentualną jej racjonalną ocenę. Im ta postawa jest silniejsza, tym łatwiej jej ulec i dalej już świadomie dążyć do nawiązania z tą osobą relacji. Wyobraźmy sobie, że w naszym mózgu jest struktura, a jest nią ciało migdałowate, które nadaje znaki emocjonalne różnym cechom danej osoby. Te znaki mogą być

pozytywne lub negatywne. Osoba, w której się zakochujemy, oczywiście jest źródłem głównie tych dodatnich znaków. Ten walor atrakcyjności, jaką nasze ciało migdałowate nadaje tej osobie, analizowany jest przez pryzmat sytuacji i naszych potrzeb, naszego nastroju w danym momencie. Swoje trzy grosze dokłada też kora wyspy, która uczestniczy w nadawaniu tym wszystkim emocjom osobistego, wręcz cielesnego wymiaru. W sprzyjających warunkach wszystkie te analizy prowadzą do wytworzenia i podtrzymywania wysokiej aktywności układu nagrody, który nadaje wysoką wartość motywacyjną tej osobie i strategii zbliżenia się do niej, nawiązania relacji i wytworzenia więzi. Tworzy się napęd, który zabarwia nasze świadome myśli, których treścią jest obraz rzeczywistości z tą osobą w jego centrum. W przypadku zakochania, pobudzenie układu nagrody jest wyjątkowo silne, a więc i motywacją do kontaktu z tą osobą, myślenia o niej, utrzymywania jej w centrum naszej uwagi jest tak samo ogromna. W praktyce nawet, jeżeli byśmy chcieli, niezwykle trudno byłoby nad tym zapanować i o ile można powstrzymać się przed działaniem, to nad postawą jest ekstremalnie trudno.

Wiadomo, że kiedy jesteśmy zakochani, zachowujemy się inaczej. I wiadomo też, że powodują to zmiany w naszym mózgu. Jakie to konkretnie zmiany?

Z jednej strony dochodzi do silnego pobudzenia wspomnianego układu nagrody, a z drugiej prądkowia, które może inicjować i podtrzymywać nasz napęd i zachowanie. W początkowym okresie prowadzi do różnych zachowań tzw. afirmacyjnych, skierowanych na nawiązanie relacji, zbliżenie, aż w końcu wspólne dzielenie czasu. Jeżeli te nasze wysokie oczekiwania się urzeczywistniają, czyli prowadzą do powstania przyjemnych doznań, wówczas ten napęd, wzorzec zachowania i myślenia o tej osobie jako o naszym partnerze czy partnerce utrwała się. W mózgu konieczne jest do tego pobudzenie układu nagrody, który sygnalizuje, że jest tak, jak się spodziewaliśmy. Albo nawet lepiej niż mogliśmy przypuszczać. W przypadku tworzenia nowej relacji, z dopiero co poznaną osobą lub wtedy, kiedy zakochujemy się po raz pierwszy, układ nagrody może nawet zwiększać swoje pobudzenie w chwilach kontaktu z tą osobą w porównaniu z tym, jak pobudzał się motywując do tego kontaktu. Wynika to z efektu nowości, który może potęgować doznania. W kontekście satysfakcji

ważne są również tzw. endogenne opioidy, które odgrywają ważną rolę w tworzeniu satysfakcji płynącej z relacji. Wszystko to może utrwać, a nawet napędzać mózg do jeszcze intensywniejszych kontaktów, tak że w zasadzie w wielu przypadkach osoby zakochane zaczynają zaniebdywać wszystko inne, co jest ważne w ich życiu. Nie są w stanie kontrolować do końca swoich zachowań, brakuje im zdrowego rozsądku, szerszego oglądu i zdolności do wybiegania w przyszłość dalej niż poza chwilę bieżącą.

Mówi się, że zakochani głupieją! Dlaczego tak się dzieje? Co się dzieje w naszym mózgu?

W badaniach neuroobrazowych widać to jako osłabienie aktywności bocznej kory przedczołowej, która odpowiada za kontrolę nad zachowaniem, racjonalną ocenę sytuacji, świadomy wybór celów, jakie wybieramy i myślenie perspektywiczne. Wynika to z działania tego silnego napędu, ale również z „zalanía” kory przez noradrenalinę. Wysoki poziom noradrenaliny jest powodem z jednej strony bardzo silnego pobudzenia i dużej energii do działania, a z drugiej strony, silnego skupienia uwagi na obiekcie naszych uczuć. Dopamina i noradrenalina razem powodują, że myśli osoby zakochanej, jej świadoma percepcja są bardzo mocno skupione na partnerze czy partnerce. Czasem może to przybierać wręcz formę stanu obsesyjno-kompulsywnego, w którym trudne do kontroli myśli i silny przymus kontaktu z daną osobą są tak silne, że niemal niemożliwe jest ich kontrolowanie. Może to przybierać na sile w chwilach rozłąki, kiedy obniżenie nastroju z powodu braku u boku tego kogoś, kto kojarzy się z przyjemnością, bezpieczeństwem czy szczęściem, wyzwała silną potrzebę dążenia do ponownego spotkania. Tęsknota, jaką wówczas czują osoby zakochane, wynika z potrzeby powrotu do stanu euforii, do której mózg przywykł i do której dąży.

Ale też w stanie zakochania jesteśmy odważniejsi. Z czego to się bierze?

Może wynikać to ze zmniejszenia aktywności tego samego ciała migdałowatego, które odpowiadało za nadanie naszej miłości tych dodatnich znaków emocjonalnych. Tak jak wspominałem wcześniej, ciało migdałowate wykrywa nie tylko to, co może być korzystne, ale również, a może przede wszystkim to, co może być niebezpieczne. A więc, jeżeli osoba zakochana jest

skłonna do ryzyka, jest w stanie popisywać się narażając się na utratę zdrowia, zaniebdywać obowiązki narażając się na straty, czy w końcu stanąć w obronie swojej miłości, to musi być to związane ze słabszą reakcją jej ciała migdałowatych. Ta aktywność może być niższa z powodu obecności partnera czy partnerki, którzy wyzwalając te miłe emocje, sprawiają, że te o ujemnym znaku są mniej znaczące, a więc w mniejszym stopniu oddziałują na decyzje. Z drugiej strony tworzą się więc związana jest ze wzrostem aktywności neuronów oksytocynowych. Ta oksytocyna nie tylko wzmacnia więź, ale również osłabia reakcje ciała migdałowatego na zagrożenia. To ważne dla wytworzenia zaufania do partnera czy partnerki, dopuszczenia ich do siebie i wspólnego działania, ale dodatkowym efektem może być właśnie ten spadek wrażliwości na inne społeczne niebezpieczeństwa. W obronie swojej miłości, zarówno fizycznej przed zagrożeniem, ale również przed potencjalnymi konkurentami czy konkurentkami ważną rolę odgrywać może inny neuromodulator aktywny w zakochaniu, jakim jest wazopresyna.

Jak długo utrzymuje się stan zakochania?

Wydaje się, że to jest bardzo zmienne i zależne od bardzo wielu czynników. Na ogół wskazuje się, że taki stan wzmożonej aktywności układu emocjonalnego i osłabionej kontroli poznawczej utrzymać się może do kilku miesięcy. Przez ten czas mózg utrwała wartość tej relacji, zapamiętuje, jaka jest cenna, utrwała wzorce zachowania, utrwała więź. Słowem tworzy się coś w rodzaju nawyku, czyli pewnego automatyzmu. Nie zmienia to faktu, że ta osoba wciąż może być źródłem przyjemnych doznań i emocji, choć nie są one tak intensywne jak na początku.

Ale już nie wariujemy!

Nie, ale możemy. Wiemy, że u osób, które ze stanu zakochania weszły w ten okres dojrzałej miłości, układ nagrody wciąż może aktywować się na widok tej osoby, jej imię czy miejsca, które się z nią kojarzą. W pewnym sensie musi tak być, bo inaczej w mózgu pojawiałby się stan rozczarowania. On pojawia się wtedy, kiedy rzeczywistość nie spełnia naszych oczekiwań. Jeżeli ten związek był dotąd szczęśliwy, jego początek był pełen przyjemnych emocji, rozczarowanie może być motorem do zwiększenia wysiłków na rzecz powrotu do tego, jak było wcześniej. Dopiero, jeżeli tak się nie dzieje, jeżeli te działania, nazwijmy je ratunkowymi, nie przynoszą ocze-

kiwanych rezultatów, mózg może powolnie osłabiać te wszystkie zapamiętane wzorce. Czasem zmiana miejsca, jakieś nowe okoliczności same przychodzą z pomocą i pozwalają na spojrzenie na swoją miłość nieco inaczej, co ożywia emocje i uczucia względem partnera czy partnerki. W każdym razie wówczas, kiedy miłość staje się bardziej dojrzała, może nie ma już fajerwerków, ale relacja może być wciąż satysfakcjonująca, a przez to wzbu- dzać motywację do jej utrzy- mywania.

Z tego, co pan pisze, wynika, że ludzie, przynajmniej z biologicznego punktu widzenia, nie są monogamistami, bo to uczucie jest silne do momentu, kiedy potomstwo wymaga opieki obojga rodziców. Później najczęściej jest tak, przynajmniej wśród ssaków, że drogi partnerów się rozchodzą i każdy osobnik szuka sobie kolejnego obiektu war- tego zakochania.

Niektórzy uważają, że ludzie są tzw. seryjnymi monogamistami, czyli są zdolni do zmiany partnerów, z którymi tworzą nowe mniej lub bardziej trwałe związki. Może to wynikać częściowo z naszej natury, z naszej wrażliwości na nowość. To, co stałe, nie wywołuje już tak silnej ekscytacji - kiedy doskonale instynktownie wiemy czego się spodziewać, nie jesteśmy w stanie odczuć silnej euforii jako wyniku miłego zaskoczenia. To może być powodem, dla których niektórzy ludzie mogą szczególnie łatwo ulegać pokusie zmiany partnera czy partnerki, którzy wzbu- dzają silną aktywność układu nagrody. Nie wszyscy jednak mają tę cechę tak samo mocno zarysowaną. Zmienność międzyosobnicza powoduje, że jedni z nas nowości pożądamy i jej poszukują, bo stałość jest dla nich bardziej i szybciej niesatysfakcjonująca, a inni tego wzorca nie przejawiają. Ci pierwsi mogą być biologicznie nieco bardziej predysponowani do zmiany partnera czy zdrady, a ci drudzy mniej.

Chyba bardziej kultura, w jakiej żyjemy, oczekiwania społeczne, pewne wzorce zachowań niż biologia sprawiają, że pozostajemy w związkach latami.

Ponieważ jesteśmy istotami społecznymi, na pewno dla każdego z nas to, czego oczekuje społeczność, w której żyjemy i która jest nam bliska, jest dla nas wartością, którą mózg bierze pod uwagę szacując potencjalne korzyści i straty wynikające z decyzji o kontynuacji czy zerwaniu relacji. Ale te same funkcje społeczne powodują też, że nie ludzie, a ten człowiek,

z którym żyjemy, staje się na tyle bliski i wzbudzający silną empatię, że chęć uniknięcia jego cierpienia jest wystarczającym motywem do odrzucania myśli np. o zdradzie. Mało tego, weźmy inną cechę, jaką jest lękliwość. Pod tym względem też bardzo się różnimy. Wśród nas są więc osoby bardziej lękliwe, które mogą wręcz unikać nowości, jako kojarzącej się z niepewnością i ryzykiem straty. Dla takich osób stały, pewny, przewidywalny związek, a więc dający bezpieczeństwo, może być wartością, która jest znacznie wyżej w hierarchii niż przyjemność i ogień płynący z tworzenia nowej relacji. Pewnie długo można by jeszcze tak wyliczać, ale na pewno to, czy trwamy, czy zmieniamy partnerów jest wynikiem nakładania się na siebie wielu predyspozycji wrodzonych oraz uwarunkowań społecznych.

Są osoby, które są w związkach bardzo długo: trzydzieści, czterdzieści lat i twierdzą, że są szczęśliwe.

Oczywiście, że tak. Poza chwilowym szczęściem, zwanym hedonistycznym, mamy jeszcze takie pojęcie, jak szczęście eudajmonistyczne. To pierwsze jest stanem opisyującym chwilę bieżącą, a to drugie wynika z oceny całokształtu życia, czy też w tym przypadku relacji, którą tworzymy. Jeżeli ktoś czuje się bezpieczny w związku, ko- chany, zadbany, partner czy partnerka spełnia jej czy jego oczekiwania, to ocena tej relacji, nawet biorąc pod uwagę brak większych uniesień w danym momencie, może być jak najbardziej pozytywna. Do takiego spojrzenia trzeba mieć odpowiednie zasoby poznawcze, bo przecież trzeba uważać objąć wiele różnych chwil tego związku, co znowuż trochę kieruje moje myśli w stronę naszej neurobiologii. Nie każdy tak samo sprawnie dokona takiej oceny, a też nie każdy będzie w stanie obiektywnie ocenić swój związek, bo nasze chwilowe oczekiwania, deficyty i emocje w dużym stopniu decydują o tym, w którą stronę pójda nasze myśli, jak daleko sięgniemy pamięcią i na czym skupimy swoją uwagę i jak to ocenimy - czy jako szklankę do połowy pełną czy do połowy pustą. Ale niezależnie od tych wszystkich czynników, na pewno jest to możliwe i taka konkluzja, czyli uznanie, że to, co jest, spełnia moje oczekiwania, jest też powodem braku otwarcia się na nowy związek. Nasz mózg zawsze ocenia to, co się dzieje i osoby, które mogłyby być teoretycznie naszymi partnerami przecież, przez pryzmat naszych aktualnych potrzeb.

Ale pozytywne zwłaszcza dla tych osób, które nie są w związkach, jest to, że z tego, co pan mówi, wynika, iż można się zakochać właściwie w każdym momencie bez względu na PESEL.

Tak, bo to jest mechanizm, który nie jest przypisany do określonego wieku, by potem zaniknąć. To, co nazywamy romantyczną miłością, bardzo często zaczyna pojawiać się w okresie dojrzewania, dlatego że bodźce seksualne, na które wówczas stajemy się czuli, są istotne dla budowania atrakcyjności danej osoby. Oczywiście bodźce seksualne nie są jedynymi istotnymi, bo nasz mózg ocenia całokształt cech danej osoby, ale są na pewno tymi, które czynią pobudzenie emocjonalne i motywację do zbliżenia silniejszymi. Młody wiek sprzyja też zakochaniu ze względu na funkcjonowanie procesów poznawczych i kontrolnych, które jeszcze nie działają na sto procent. Ten rozwój funkcji poznawczych i coraz bogatsze doświadczenia zbierane w życiu i różnych relacjach mogą u osób dojrzałych nieco utrudniać rzucenie się w wir emocji, ale emocje mają to do siebie, że nie jest nad nimi łatwo panować bez względu na wiek. Dlatego ci, którzy obawiają się miłości, powinni wystrzegać się zwłaszcza nowych sytuacji i kontraktu z nowymi, nieznanymi i niespodziewanymi ludźmi, bowiem wszelkie przejawy nowości mogą nakreślić nasze układy emocjonalne do stanu, w którym nawet najbardziej opanowani i racjonalni ludzie mogą stracić głowę i zakochać się bez opamiętania.

Zatem powinniśmy być gotowi na miłość w każdym wieku?

Oczywiście, że tak.

CV



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prof. Wojciech Glac
Neurobiolog w Pracowni Neurobiologii Katedry Fizjologii Zwierząt i Człowieka Uniwersytetu Gdańskiego. Jego największą pasją jest popularyzacja nauki. Prowadzi wykłady popularnonaukowe i warsztaty z dziedziny neurobiologii. Autor wielu książek i publikacji naukowych.

Ta czwórka miejskich strażników zasłużenie cieszy się w Toruniu olbrzymim zaufaniem i szacunkiem mieszkańców. Monika Kalinowska, Mariusz Kościuk, Piotr Słomski i Krzysztof Antczak od lat z odaniem ratują zwierzęta w miejskiej przestrzeni. Siarczyste mrozy dla tej ekipy z Patrolu Eko Straży Miejskiej w Toruniu były... gorące. Interwencja goniła interwencję, a okoliczności bywały dramatyczne.

Z zimowego dziennika ekostrażnika

1 lutego, w Toruniu mróz dwucyfrowy. Pod mostem Piłsudskiego na Wiśle przecho- dzień zauważa łabędzia, który ewidentnie potrzebuje pomocy. Mężczyzna wzywa telefonicznie Ekopatrol, jak popularnie od lat nazywają Patrol Eko mieszkańcy. Trochę czeka, ale potem mróz wygania go do domu.

Strażnicy pod most docierają tak szybko, jak to jest możliwe. - Ten łabędź był wycieńczony, przemarznięty, prawdopodobnie także odwodniony. Nie był w stanie wzbić się do lotu. Uda- wało mu się wznieść najwyżej na wysokość pół metra. Szczę- śliwie nie miał złamanych skrzydeł ani innych urazów. Gdy go odławiałem, miał też naturalny odruch i siły na obronę - relacjonuje „Nowościom” Mariusz Kościuk z Patrolu Eko.

Ptaka udało się odłowić. Pan Mariusz wraz ze strażniczką, która pełniła rolę kierowcy, przetransportowali go do Animal Patrolu - Ośrodka Rehabili- tacji Dzikich Zwierząt. To sprawdzone miejsce, z którym torunianie współpracują od dawna. - Pacjent czuje się już dobrze - mówi uśmiechem Mariusz Kościuk.

3 lutego, tuż po godz. 14.00. Tym razem alarmujący telefon od mieszkańca dotyczy chorej kaczki krzyżówki (potem okaza się, że to kaczor). Ptak ledwo żyje, znajduje się przed galerią handlową Copernicus przy ul. Żółkiewskiego.

Ekostrażnicy znów jadą w teren. - Okazało się, że ptak był przejeżdżony i cierpiał. Pomogło mu, gdy zwrócił to, co zjadł, czyli chleb - relacjonuje Mariusz Kościuk. - Niestety, wielu problemów te ptaki uniknęłyby, gdyby nie sposób ich dokarmiania. Ludzie kierują się odruchem serca i jak najlepszymi chęciami, ale robią im krzywdę, karmiąc chlebem. Najlepsze są ziarna, a jeśli ich nie mamy, to lepiej już kupić w sklepie zwykłe płatki owsiane czy ryż.

4 lutego. Mróz nie odpuszcza, a Wisła skuta jest lodem. Tego dnia ekostrażnicy też ratują przymarzniałego do rzeki łabędzia. Pomagają im strażacy. Akcja nie jest łatwa, ale ptaka znajdującego się na wysokości Bulwaru Filadelfijskiego udaje się uratować. Trafia do ośrodka rehabilitacji dzikich zwierząt.



Lutowa akcja ratowania przymarzniałego na Wiśle w Toruniu łabędzia. Strażnikom z Patrolu Eko pomagali strażacy

Dzikie zwierzęta zimą w mieście. Patrol Eko w akcji

Łabędzie przymarzniałe do Wisły, sarny zlizujące z szosy sól i potrącone przez samochody kaczki przekarmiane chlebem - Patrol Eko w Toruniu zimą na pełne ręce roboty! „Dobrze, że jesteście” - dziękują ludzie. A jak trzeba, z budżetu obywatelskiego doposażają

Małgorzata Oberlan

W tym przypadku patrol również wezwali przechodnie, którzy nie przeszli obojętnie i wiedzieli, jaki numer telefonu w Toruniu wybrać. Po prostu 986, czynny całą dobę.

Spadające gęsi, potrącone sarny i dziki...

Bywają zimy, że interwencji Ekopatrolu jest mniej niż latem, ale wcale nie są prostsze. Ba, w mroźnym czasie szczególnie te dłużej trwające wymagają od ekostrażników hartu ducha i ciała. - Cóż, po prostu zawsze ubieramy się na cebulkę, bierzemy ze sobą dodatkowe ubrania, w termosie z gorącą kawą czy herbatą. A po wszystkim zjeżdżamy do „bazy”, gdzie zawsze możemy się ogrzać - opowiada Mariusz Kościuk.

Co działo się w styczniu i grudniu? Najwięcej interwencji strażnicy mają w związku z ptakami. Torunianie wzywają ich zimą często do gołębi. Zazwyczaj tych bytujących na starówce - przyzwyczajonych, że tu znajdują jedzenie. Tymczasem mroźny czas czasem oznacza, że regularni dotąd karmiciele sami chronią się w domach. Bywa i tak, że gołę-

bie - jak kaczki czy łabędzie - cierpią po resztkach najtańszego chleba z polepszaczami... - Zdarzają się też gołębie osłabione nie tylko wskutek wiatrów czy mrozów i braku dostępu do pokarmu, ale i chorób, np. rzęsistka - dodaje strażnik.

Rzadziej, ale jednak, odbywają się interwencje dotyczące dzikich gęsi. Tak było 14 stycznia i to jednocześnie w trzech rejonach miasta: na starówce, przy Szosie Chełmińskiej i w okolicy ul. Bro-

niewskiego. - Ludzie dzwonili i prosili o pomoc, bo gęsi dosłownie spadały. Okazało się, że najpierw mżawka, a potem mróz spowodowały obalenie ich skrzydeł zmarzniętymi, co uniemożliwiło im opowiadania strażnik.

Zima to także czas interwencji wobec dzikich ssaków. Jak się bowiem okazuje, nie tylko latem zapuszczają się one regularnie na teren miasta.

- Sarnom zimą brakuje mikroelementów i dlatego wchodzą na jezdnię i zlizują z niej

sól. Wtedy o wypadek nie jest trudno - dochodzi do potrąceń przez samochody. Zabezpieczamy te zwierzęta, zapewniamy pomoc weterynaryjną, przewożymy do ośrodka rehabilitacji. Niestety, czasem bywa i tak, że najbardziej humanitarnym rozwiązaniem jest już tylko skrócenie - przez lekarza weterynarii - cierpienia takiej sarny z połamaniem kończynami. Inaczej umierałaby w męczarniach, rozdrapywana przez inne dzikie zwierzęta - nie kryje Mariusz Kościuk.

Większe szanse na przeżycie po starciu z samochodem mają dziki, choć i w ich przypadku bywa różnie (zależnie od kalibru pojazdu, prędkości, siły uderzenia). - Zimą dziki także pojawiają się w Toruniu, np. w okolicach Olsztyńskiej czy Rudackiej. Ciągną tutaj do wiat śmietnikowych. Nie wszyscy wiedzą, że dzikie świnie węż mają lepszy niż psy - bezbłędnie wyczuwają pokarm np. w workach z odpadkami, które ludzie często zostawiają przed wiatami. I takich sytuacjach też zdarzają się potem potrącenia dzikich zwierząt przez pojazdy - mówi strażnik Ekopatrolu.

Komendant: „Zawodowcy z pasją”

Patrol Eko Straży Miejskiej w Toruniu to zespół 4-osobowy. Jego pracę kolejny rok nadzoruje naczelnik Wojciech Swinarski.

- Patrol powołaliśmy do życia w 2012 r. Zaczynał od dwudziestu kilku interwencji rocznie - wspomina Mirosław Bartulewicz, komendant Straży Miejskiej w Toruniu. - Wzorowaliśmy się na ekopatrolach, które wtedy działały już w Łodzi i Wrocławiu. Potem to my uczyliśmy innych, pomagaliśmy np. zakładać taki patrol strażnikom w Gdańsku. Do dziś chętnie służymy wiedzą i doświadczeniem zainteresowanym gminom.

Z każdym rokiem interwencji przybywało. Ostatnie kilka lat to już corocznie ponad tysiąc akcji ekostrażników! Tylko w ub. r. podjęto 1771 interwencji wobec zwierząt potrzebujących wsparcia. Najczęściej dotyczyły one ptaków - 1200 przypadków, ssaków - 393 razy, gadów - 7 sztuk oraz roi owadów - 89 zdarzeń. 81 interwencji związanych było z dobrostanem zwierząt domowych.

- Cała czwórka z Patrolu Eko to technicy weterynarii, którzy dodatkowo przeszli różne szkolenia specjalistyczne, łącznie z takimi, jak zajmowanie się zwierzętami terrarystycznymi. To zawodowcy z pasją - mówi komendant. - Nasz Patrol Eko wyposażony jest nie tylko we wszelkiego rodzaju łapki i chwytaki do odławiania różnego rodzaju zwierząt, kontenerki do ich transportu czy klatki do przetrzymywania (przed transportem do weterynarza czy ośrodka rehabilitacji). Ma też specjalistyczny pojazd, drugi już w swojej historii, który kupiony został dzięki wsparciu torunian, oraz inkubator dla małych zwierząt. Wiele tych sprzętów to efekt zaangażowania torunian - kupione zostały z budżetu obywatelskiego - podkreśla Bartulewicz.

W Toruniu zadaniem ekostrażników jest nie tylko niesienie pomocy zwierzętom, ale i kontrola spalania, a więc zadania związane z czystością powietrza. Stąd na ich wyposażeniu także drony i kamery. To już jednak inna historia...

- Są strażę w Polsce, które mają dwie osobne komórki: Animal Patrol, ratujący zwierzęta i Eko Patrol, czuwający nad jakością powietrza i generalnie środowiska, i każdy z tych patroli liczy po trzydzieści kilka osób. To jednak jest możliwe w tak licznych jednostkach, jak wspomniane przeze mnie strażę łódzka, wrocławska czy inne wielkomiejskie. Mają ogółem po 350-400 strażników. Toruńska liczy ich sobie 130, więc ten nasz 4-osobowy Patrol Eko łączy różne obowiązki - objaśnia komendant. ©©



W skład czteroosobowego Patrolu Eko Straży Miejskiej w Toruniu wchodzi, między innymi, Mariusz Kościuk i Monika Kalinowska



„INNA” Z OPOLA. W „THE VOICE SENIOR” Z GITARĄ Z JAPONII

Jej głos zachwycił ludzi na obu półkulach świata. Odniosła sukces na festiwalu w Opolu. Występowała z gwiazdami polskiej muzyki. Zawsze wracała do Torunia; tu mieszka. Ostatnio przypomniła o sobie występem w „The Voice Senior”

Marek Nienartowicz



Barbara Gołaska z gitarą podarowaną jej przez zaprzyjaźnioną rodzinę z Japonii

Ta wokalistka o zachwycającym głosie to Barbara Gołaska. Dzieciństwo i młodość spędziła na toruńskim Rudaku. Mieszkała obok jednostki wojskowej. Tata był oficerem. - Obecny Rudak jest mocno zabudowany, ogromnie się zmienił. Rudak sprzed lat był moim rajem. Miałam tam wielką przestrzeń do śpiewu. Do szkoły przy ul. Rudackiej chodziłam przez las. I razu pewnego, gdy tak wędrowałam na lekcje, mój śpiew usłyszała idąca za mną nauczycielka muzyki. Podczas wywiadówki przykazała moim rodzicom: „zróbcie coś z tym dzieckiem”. Chodziło o moją edukację muzyczną. Po wielu latach tę panią spotkałam na swoim koncercie. Widywałyśmy się, przeszła ze mną na „ty”. Uwielbiałam ją, bo dzięki niej poznałam muzykę, choćby utwory Moniuszki - opowiada Barbara Gołaska.

Była samoukiem. Tak w kwestii śpiewu, jak i gry na gitarze. Bo ten instrument - jak mówi - pokochała całą sobą. Najpierw korzystała ze sprzętu, który uczestnikom zajęć wypożyczał Młodzieżowy Dom Kultury. Na scenie MDK-u przy Przedzamczu debiutowała w wieku 13 lat. Na własną gitarę musiała trochę poczekać.

Maturę zdała w Zespole Szkół Przemysłu Spożywczego. Z wykształcenia jest technologiem cukrownictwa. Nigdy nie pracowała w zawodzie. Nauka w „spożywcaku” jednak bardzo wpłynęła na jej przyszłość.

- Chciałam doskonalić język angielski. W tamtych czasach nie było to takie proste. Nauczyciel angielskiego w technikum zaproponował mi znalezienie kogoś, z kim rozpocznę korespondencję w tym języku i tym samym jego naukę. Tak trafiłam na rodzinę z Japonii, z miasta Sendai. Zaczęłam z nią korespondować. Rok po maturze zaproszono mnie do Japonii. Pojechałam przez Paryż, wracałam przez Daleki Wschód i Moskwę, przez 13 dni. Taki wyjazd w tamtych czasach był czymś niezwykle cennym i wielkim przeżyciem. Także dlatego, że ta zaprzyjaźniona japońska rodzina zrobiła mi wspaniały prezent. To była klasyczna gitara Yamaha. Mój ukochany instrument. Od tamtej wizyty w Japonii się z nią nie rozstaję - mówi pani Barbara.

Nagroda za „Inną” z festiwalu w Opolu

Z tą gitarą dziewczyna z Rudaka - i z charakterystycznym czarnym warkoczem - ruszyła w świat, po muzyczne sukcesy. Niezwykle był dla niej 1978 r. Podczas Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki w Toruniu dyrektor Teatru Muzycznego w Gdyni Danuta Baduszkowa przyznała Barbarze Gołaskiej nagrodę „Złotego Flisaka”. Kolejny laur zdobyła na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej

Górze. W czerwcu 1978 r. wystąpiła na XVI Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Dostała II nagrodę. Jej interpretacja utworu „Inna” zachwyciła jury i publiczność. - Podczas festiwalu miałam spieć z panem Jerzym Wasowskim, który stał na czele jury. Próbowałam narzucić do wykonania utwór, w którym się źle czułam. Byłam już spakowana i chciałam wracać do Torunia, ale w końcu stanęło na moim. Po festiwalu laureaci pojechali na sześciotygodniowe tournée po Związku Radzieckim. Gdy z niego wróciłam, to okazało się, że mój utwór zajął drugie miejsce w plebiscycie „Piosenka miesiąca” Polskiego Radia - wspomina pani Barbara.

Potem była kilkuletnia współpraca ze znanym poznańskim kabaretem Tey. Występowała także długo z Andrzejem Rosiewiczem. Rów-



Barbara Gołaska na zdjęciach z płyty „Gipsy Swing Quintet”. To w lewym górnym rogu wykonała Zofia Nasierowska. Na prawym górnym - podczas występu na festiwalu w Rostocku. Na lewym dolnym - akordeonista Reno Moreno, z którym współpracowała. Na prawym dolnym - z Czesławem Niemenem, podczas festiwalu Opole'78

niez z innymi gwiazdami polskiej estrady. Tak poznała Czesława Niemen, Marylę Rodowicz, Alicję Majewską, z którą dzieliła garderobę. Była częstym gościem w radiowych audycjach Marii Szablowskiej, a także programów telewizyjnych, choćby z udziałem Ireny Dziedzic. Zaprzyjaźniła się z aktorką Aliną Janowską, chociaż była między nimi spora różnica wieku. Dzięki tej znajomości miała sesję zdjęciową u fotografki Zofii Nasierowskiej.

Występowała w Stanach Zjednoczonych, Republice Południowej Afryki, Japonii, wielu państwach europejskich. W 1994 roku nagrała w Holandii płytę „Ballady i romanse cygańskie”, z zespołem cygańskim w międzynarodowym składzie. Trzy lata później, wraz z akordeonistą Rose Moreno, zdobyła III nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Kultury Romskiej w Ciechocinku.

Interpretatorka romansów z ekspresyjnym głosem

Barbara Gołaska stała się znana i ceniona jako interpretatorka starych rosyjskich i cygańskich romansów. Także poezji śpiewanej i jazzu. Jej głos przeszywa naturalną ekspresyjnością, emocjonalnością. To charyzmatyczna, silna muzyczna osobowość.

- Gdy poczuję scenę pod stopami, to od tego momentu na niej rządzę. Jeśli nie mogę, to w ogóle nie śpiewam. Nikt mi niczego nie narzuci. Mam swoje zasady, co pokazałam wtedy w Opolu - mówi Barbara Gołaska.

W tych występach oczywiście towarzyszy jej - już od 48 lat - japońska gitara. Nieustająco świetnie brzmiąca.

- Kiedyś, gdy przygotowywałam się do występu w telewizji, podszedł do mnie reżyser dźwięku. Człowiek o słuchu absolutnym. Stwierdził, że pracuje od lat, ale nie słyszał takiej relacji z instrumentem jak moja z moją gitarą. Zastanawiał się, czy ja stroję barwę do gitary, czy gitara stroi barwę do mnie. Na takie pytanie mogę odpowiedzieć, że jest to efekt połączenia dusz. Mojej i gitary. Tak właśnie brzmiemy razem - podkreśla Barbara Gołaska.

Inne gitary oferował jej choćby brat, zajmujący się sprzedażą instrumentów. Zdecydowanie przegrały rywalizację z Yamahą na długość brzmienia struny „e”. Nic więc dziwnego, że gitara z Japonii jest dla Barbary Gołaskiej absolutnie wyjątkowa. Raz ją pożyczycie do występu na scenie. Zwrócono jej utuczony instrument. W którymś miejscu potrzebne było klejenie, z biegiem lat także lekkie modyfikacje na gryfie. Z brzmienia gitara jednak niczego nie straciła. A brzmi głośno i pięknie.

W „The Voice Senior”

Z tą gitarą - a jakże! - Barbara Gołaska trafiła do najnowszej odsłony popularnego programu TVP2 „The Voice Senior”.

- Oglądałam wcześniej ten program i w końcu zdecydowałam się na udział. Obaw większych nie miałam. Policzyłam, że był to mój czterdziesty występ w telewizji. Przeszłam przez eliminacje i trafiłam do „Przesłuchań w ciemno” - mówi Barbara Gołaska.

Najpierw, podczas „Przesłuchania w ciemno” zaśpiewała piosenkę „Bal u Posejdona” Anny German.

- Znałam tę piosenkę, bo moja mama kolekcjonowała płyty Anny German. Od dziecka byłam osłuchana z jej utworami. Bardzo mi one odpowiadają, są takie w moim stylu - zauważa pani Barbara.

„Bal u Posejdona” w jej wykonaniu poruszył jurorów. Fotele, na znak akceptacji, odwrócili Andrzej Piaseczny, Robert Janowski i... Alicja Majewska. Barbara Gołaska trafiła do jej ekipy. Po latach panie znów więc na siebie trafiły.

Ten występ przypomniał polskiej publiczności o Barbarze Gołaskiej. Wiele osób trafiło w ślad za nią do serwisu YouTube, by przypomnieć sobie czy też poznać jej repertuar. Zachwytów nad jej wykonaniem „Innej” z Opola'78 ciągle jest wiele.

„Jakie piękne śpiewanie - głos, dykcja, interpretacja. Doskonale pamiętam ten występ w Opolu. Ech, to były festiwale!” - wspomina w komentarzach na YT pani Krystyna.

„Zapamiętałem piosenkę w tym elektryzującym wykonaniu tak dobrze, że mógłbym melodię powtórzyć. Życzę artyście docenienia przez ludzi wrażliwych na piękno” - stwierdził Andrzej Staniewicz.

To tylko niektóre ze słów uznania dla artystki z Torunia.

A w kolejnym odcinku „The Voice Senior” Barbara Gołaska w efektownej, czerwonej sukni, zaśpiewała „Besame mucho”. W programie wykonała także „Tango d'amore”.

Śpiew i gra na gitarze to cały jej świat”

Z każdego występu wraca zawsze do Torunia. To jej dom. Ciągłe jest aktywna muzycznie. Sił już trochę mniej, więc przydałoby się jej wsparcie kogoś, kto mógłby pełnić funkcję menedżera.

- Muzycznie, mimo upływu lat, nic się nie zmieniło. Śpiew i gra na gitarze to całe moje życie, cały mój świat - dodaje Barbara Gołaska.

To bodaj najbardziej utytułowana wokalistka pochodząca z Torunia. Może doczeka się docenienia także w rodzinnym mieście? Może... katarzynką w Piernikowej Alei Gwiazd?

©©

Chorobę rozpoznała i zaczęła z nią skutecznie walczyć młoda lekarka, pediatra pracująca w rejonowej przychodni, Jolanta Wadowska-Król. Gra ją Joanna Kulig



FOT. ROBERT PALKA / NETFLIX

W CIENIU ŚLĄSKIEJ HUTY. TEN DRAMAT POZNA CAŁY ŚWIAT

„Ołowiane dzieci” to sześcioodcinkowy serial Netflixa o katowickich Szopienicach, którego akcja toczy się w latach 1974-1975. Bohaterką jest lekarka Jolanta Wadowska-Król, która odkrywa, że to, co nazywano „tajemniczymi zachorowaniami” dzieci, jest w rzeczywistości związane z działaniem huty w Szopienicach

Grzegorz Olma

Prawdziwa historia, prawdziwi bohaterowie

Akcja serialu toczy się w cieniu Huty Metali Nieżelaznych, jaką przez ponad 170 lat (pod różnymi nazwami) pracowała w Szopienicach. Był to jeden z największych w Polsce producentów wyrobów walcowanych z miedzi i mosiądzu. W latach siedemdziesiątych XX wieku emisja nieoczyszczonych spalin, które towarzyszyły produkcji, była przyczyną znacznej liczby zachorowań na ołowicę. Na tę chorobę zapadały głównie mieszkające w pobliskich fami-
lokach dzieci.

Chorobę rozpoznała i zaczęła z nią skutecznie walczyć młoda lekarka, pediatra pracująca w rejonowej przychodni Jolanta Wadowska-Król. Pomagała jej pielęgniarka Wiesława Wilczek (wciela się w nią Kinga Preis). Na ekranie pojawiają się inne prawdziwe postaci związane w tym czasie z Katowicami. Jerzego Ziętka (w tym czasie był wojewodą katowickim) gra Marian Dziędziel. Zdzisławem

Grudniem, pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR, jest na ekranie Zbigniew Zamachowski.

- W postaci Joli Wadowskiej-Król zobaczyłam przede wszystkim uczciwość, niezwykłą odwagę, upór i bezkompromisowość. Jej życiorys stawia pytanie, czy sami będąc na jej miejscu, znaleźlibyśmy w sobie wystarczająco dużo siły, aby stanąć samemu przeciw systemowi. Odpowiednie przygotowanie, atmosfera na planie - to wszystko pozwoliło mi całkowicie zanurzyć się w świecie tej postaci i poczuć jej rytm. To była praca fascynująca, intensywna i wyczerpująca, ale właśnie dzięki temu prawdziwa - mówi Joanna Kulig, odtwórczyni roli lekarki.

Historia opowiedziana na Śląsku

Producenci serialu starali się bardzo dokładnie odtworzyć klimat Szopienic sprzed 50 lat. Dziś huta już nie istnieje, w Szopienicach nie ma też skażonych oło-

wiem fami-
loków, które zostały wyburzone.

Szopienicką hutą na ekranie jest elektrociepłownia w Zabrze, a sąsiadujące z nią osiedla i ulice kręcono w Kolonii Alfreda w Katowicach, w Świętochłowicach, Chropaczowie, Lipinach czy w Rudzie Śląskiej. W serialu dostrzec też można wnętrza gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach.

Zdjęcia na Śląsku realizowano przez kilka miesięcy. Niewielka ich część powstała w Warszawie. Na potrzeby produkcji zatrudniono setki statystów, wśród nich były osoby, których rodziny pracowały w hucie.

Reżyserem serialu jest pochodzący z Katowic Maciej Pieprzyca. To twórca, który znakomicie czuje śląskie klimaty. W swym dorobku ma m.in. „Barbórkę”, „Drzazgi” czy „Jestem mordercą” (film inspirowany historią „wampira z Zagłębia”).

- W tej historii przyciągnęła mnie z pewnością postać Jolanty

Wadowskiej-Król, ponieważ to, co zrobiła, zdecydowanie zasługuje na przypomnienie. Kiedy dostałem tę propozycję, to powiedziałem sobie, że muszę zrobić wszystko, aby tę historię opowiedzieć, i cieszę się, że mi się to udało - mówił podczas premierowego pokazu w Katowicach Maciej Pieprzyca.

Scenariusz serialu, autorstwa Jakuba Korolczuka, inspirowany jest m.in. książką Michała Jędryki o tym samym tytule.

- Prawa do książki zostały wykupione, a ja uczestniczyłem w przygotowaniach na zasadzie konsultanta. Starłem się scenaryście nakreślić tło historyczne. Jeździłem z autorką scenografii, dawałem wskazówki - wspominał na łamach „Dziennika Zachodniego” Michał Jędryka.

Nie jest on jednak tylko autorem książki, ale poniekąd także bohaterem, jednym z „ołowianych dzieci”.

- Ta historia jest ciekawa z wielu powodów i dobrze, że się do niej wraca. Przede

wszystkim ze względu na główną bohaterkę, doktor Jolantę Wadowską-Król. Miałem okazję poznać ją dwa razy. Pierwszy, jako mały chłopiec - pacjent i drugi, kiedy postanowiłem napisać książkę.

- Choć nie byłem typowym pacjentem, bo zgodnie z definicją pani doktor, „ołowiane dzieci” to te szczególnie mocno dotknięte ołowicą, z zaburzeniami ruchowymi, psychicznymi. Mnie to zostało zaoszczędzone, choroba tak mocno mnie nie dotknęła. Po raz drugi spotkałem panią doktor już przy pisaniu książki. Żałuję, że doktor Król nie doczekała ekranizacji - mówił nam Michał Jędryka w czerwcu ubiegłego roku.

Przedpremierowy pokaz w Katowice

Specjalny przedpremierowy pokaz najnowszej produkcji Netflixa miał miejsce w minioną środę w katowickim Kinoteatrze Rialto. Obok twórców serialu

uczestniczyli w nim także członkowie rodziny doktor Jolanty Wadowskiej-Król oraz zaproszeni goście.

Widzowie mogli zobaczyć dwa z sześciu odcinków, co przełożyło się na około dwugodzinny seans. Na sali, jeszcze przed zgłoszeniem świateł, można było wyraźnie wyczuć napięcie związane z oczekiwaniem. Podczas projekcji na sali panowała głęboka cisza i skupienie, które co jakiś czas przerywane były salwami śmiechu. Pokaz został zwieńczony gromkimi brawami, co nie pozostawia złudzeń, że śląska publiczność bardzo ciepło i entuzjastycznie przyjęła to, co zobaczyła.

Joanna Kulig i Maciej Pieprzyca tuż po zakończeniu projekcji na gorąco odpowiedzieli na kilka pytań, a następnie wszyscy goście mogli zobaczyć okolicznościową wystawę. Zaprezentowano na niej m.in. fotografie wykonane podczas kręcenia „Ołowianych dzieci”, a także dokumenty i zdjęcia związane z dr Jolantą Wadowską-Król.

Prezentacja ta dodatkowo oddawała klimat lat siedemdziesiątych. Uwagę przyciągały historyczne już materiały prasowe z 1971 roku. Ich autorzy pisali wtedy o problemach, na które skarżyli się mieszkańcy Szopienic. Narzekali na szybko więdnące kwiaty i pokrytą pyłem pościel. W innym tekście zwracano uwagę na wysokie stężenie ołowiu w kontekście sporej liczby chorujących psów. Apelowano do właścicieli czworonogów, aby wyprowadzali je na spacer rano i wieczorem, ponieważ „stężenie substancji trujących jest wtedy znacznie mniejsze”.

Serial „Ołowiane dzieci” jest dostępny na platformie Netflix od środy 11 lutego. Dostępny będzie na całym świecie.

W ostatnim czasie pojawia się u nas dużo seriali i filmów, opowiadających o wydarzeniach z czasów PRL-u. Z czego to wynika?

To prawda. Kiedy byłam w jury festiwalu w Gdyni, w konkursie pojawiło się bardzo dużo filmów osadzonych w tych realiach. Coś przyciąga więc do tamtych czasów. Nasz serial też rozgrywa się w latach 70. i jeden z dziennikarzy zapytał mnie, czy gdyby ta historia wydarzyła się dzisiaj, to byłoby tak samo czy inaczej. I wydaje mi się, że nie – bo to komunistyczny system generował sytuacje, w których ludzie byli czasem stawiani przed bardzo trudnymi dylematami moralnymi. W naszym serialu nie oceniamy tych postaw, ale je pokazujemy. Reżyser Maciej Pieprzycza porównuje „Ołowiane dzieci” do „Erin Brokovich”. Z całym szacunkiem – ale bohaterka tego amerykańskiego filmu funkcjonowała w demokratycznym systemie, a doktor Joanna Wadowska-Król w systemie totalitarnym i trudniej było jej walczyć. To pokazuje, że już sam tamten czas generował problemy systemowe, z którymi trudno było sobie poradzić.

Jak została pani doktor Joanna Wadowską-Król w „Ołowianych dzieciach”?

Zaczęło się od tego, że dostałam telefon od Macieja Pieprzyczy, który powiedział, że chciałby się ze mną spotkać, bo ma mi do zaproponowania rolę. Ponieważ bardzo cenię jego twórczość, chętnie się z nim umówiłam. I wtedy właśnie powiedział, że chciałby, abym zagrała postać doktor Joanny Wadowskiej-Król w serialu Netflixa. Nie było jeszcze scenariusza i nic nie wiedziałam o niej, więc przybliżył mi jej historię. Bardzo mnie ona zaciękała. Zresztą zawsze chciałam zagrać lekarkę, więc propozycja ta trafiła u mnie na podatny grunt. Kiedy potem dostałam scenariusz i przeczytałam go, pomyślałam, że to prawdziwy kawał roli. Zgodziłam się więc i przez ten czas przygotowań do pracy na planie nie brałam innych zobowiązań, aby móc się jej w pełni oddać. To była bardzo trudna praca, bo na 70 dni zdjęciowych, ja miałam aż 64 dni. Czyli było to duże obciążenie.

Wciela się pani w autentyczną postać. Czy to miało dla pani znaczenie podczas kreowania roli?

Na pewno. Nie jest to jednak serial dokumentalny, tylko fabularny, więc wiele rzeczy jest tutaj dramaturgicznie innych niż w życiu doktor Wadowskiej-Król. Miałam jednak świadomość, że wcielałam się w osobę, która autentycznie istniała i było to dla mnie bardzo ważne. Dlatego moja rola wynikała zarówno z prawdy o tej po-

JOANNA KULIG: KOMUNISTYCZNY SYSTEM GENEROWAŁ SYTUACJE, W KTÓRYCH LUDZIE BYLI STAWIANI PRZED TRUDNYMI DYLEMATAMI MORALNYMI

„Ołowiane dzieci” to nowa polska produkcja Netflixa, oparta na faktach, która opowiada historię epidemii ołowicy na Górnym Śląsku w latach 70. XX wieku. Serial skupia się na walce młodej lekarki, Jolanty Wadowskiej-Król, która odkrywa, że dzieci mieszkające w cieniu Huty Metali Nieżelaznych w Szopienicach masowo zapadają na śmiertelną chorobę. Niestety: komunistyczne władze robią wszystko, aby zatuzszować sprawę. Rozmawialiśmy z Joanną Kulig, która wciela się w postać bohaterskiej lekarki

Patryk Gzyl



FOT. ROBERT PALKO/NETFLIX

Joanna Kulig: Moja rola wynikała zarówno z prawdy o tej postaci, jak i z mojej aktorskiej interpretacji tej konkretnej historii

ruchy czy mimikę, tylko raczej na tym, aby przeprowadzić tę postać przez siebie. Maciek mówił, że była bardzo energiczna i szybko chodziła – i zauważył w tym duże podobieństwo do tego, jak ja się poruszam. Wyszło to bardzo naturalnie, bo ja skupiłam się przede wszystkim na emocjach nakreślonych w scenariuszu. Wolałam być wsłuchana w Maćka i w to, jak mnie prowadzi, niż sztucznie naśladować to, co widziałam na tych filmikach.

Dostała pani od reżysera dużo przestrzeni w własną interpretację swej bohaterki?

Maciek oczekuje od aktora wypełnienia jego wizji postaci, ale pozwala też na sporo spontaniczności. Oczekuje od niego

konkretnych propozycji i wybiera z nich to, co mu się najbardziej podoba. Pracując na planie nie miałam więc poczucia jakiegoś ograniczenia, ale wiedziałam, że Maciek panuje nad postacią. To dawało mi świadomość, że wsłuchanie się w jego uwagi, może spowodować, że moja gra wypadnie na ekranie ciekawiej, niż próbowałabym wyłącznie odgrywać tylko to, co mnie się wydaje. Maciek reżyseruje w konkretny sposób – i ty podążasz za tym. Możesz przy tym zaproponować coś od siebie bez jego oceniania, czy to jest dobre czy beznadziejne. On ma dużą czułość i wrażliwość we wsłuchiwanie się w aktora i bardzo dba o to, żeby przed każdą sceną się z aktorami w osobnym pokoju

i wszystko z nimi przeczytać czy omówić swe intencje. Jest zawsze bardzo dobrze przygotowany. Do tego przykładą taką samą wagę do pierwszego, co i drugiego czy trzeciego planu. To dla niego bardzo ważne i ja sobie to bardzo cenię.

Serial ma gwiazdorską obsadę. Które spotkanie było dla pani najbardziej inspirujące?

Bardzo się cieszę, że zagrałam z Agatą Kuleszą, bo przyjaźnimy się, a nie widziałyśmy się bardzo dawno, bo ona jest wyjątkowo zapracowana. Po raz pierwszy spotkałam się na planie z Kingą Preis, byłam więc jej ciekawa. Grana przez nią pielęgniarka z szopienickiej przychodni to bardzo ważna postać w tej historii – to ona wprowadziła doktor Wadowską-Król

w ten świat familioków, który pokazujemy w serialu. I zrodziła się z tego prawdziwa przyjaźń. Oczywiście ciekawe było dla mnie spotkanie z wszystkimi śląskimi aktorami, którzy najpierw przepięknie grają gwarą, a potem płynnie przechodzą na zwykłą polszczyznę. Bardzo mi to imponowało i byłam pod dużym wrażeniem tego, co zrobili w tym serialu.

Musiła pani też grać z małymi dziećmi. Jakie to było doświadczenie?

Wspaniałe. Mielśmy na planie konsultantkę do spraw dzieci, Magdalenę Glapińską, która przygotowywała je do gry, komunikowała się z nimi i sprawowała nad nimi psychologiczną opiekę. Mielśmy raz trudną scenę medyczną z jednym z chłopców i on w pewnym momencie zaczął reagować lękiem. Mówił, że się boi, bo czuje się jak w szpitalu. Okazało się, że miał kiedyś operację i te złe wspomnienia do niego nagle powróciły. Wtedy ona wzięła go na ręce i powiedziała: „Nie bój się, nie jesteś w szpitalu, tylko na planie filmu”. Czyli dzieci były zaopiekowane i to bardzo ułatwiło mi pracę z nimi, bo mogłam się skupić na swoich emocjach, nie musząc się o nie martwić.

Jak młody widz odbierze „Ołowiane dzieci” pani zdaniem: jako historię z dawnego świata, który już nie istnieje, czy odnajdzie w niej jakieś paralele z współczesnością?

Trudno mi powiedzieć. Sama jestem tego bardzo ciekawa. Dzisiaj rozmawiałam z młodą dziennikarką i jej serial bardzo się podobał. Mam więc nadzieję, że trafi również do młodszego pokolenia.

NOWROCKY, CZYLI PREZYDENTÓW PROBLEM Z ODZIEŻĄ

Od kilku dni mnożą się pytania na temat związków Karola Nawrockiego z firmą Nowrocky i dlaczego głowa państwa promuje jej ubrania. Przykład Andrzeja Dudy pokazuje jasno, że zachwalanie marek odzieżowych nie wychodzi prezydentom na dobre. Właściciel firmy Red is Bad ma dzisiaj spore kłopoty i politycy już tak chętnie nie fotografują się w jej T-shirtach

Dorota Kowalska

Prezydent jako głowa państwa musi się prezentować. Na oficjalnych spotkaniach sprawa jest oczywista - obowiązuje garnitur. Więcej swobody prezydenci mają podczas chociażby wizyt na siłowni czy spotkań ze sportowcami. Media bardzo szybko zauważyły, że Karol Nawrocki, kiedy wybrał się do Włoch na otwarcie zimowych igrzysk, do zdjęć pozował w czapce i koszulce z charakterystycznym logo z napisem „Nowrocky”.

Taką samą czapkę nosił w styczniu podczas zawodów Pucharu Świata w skokach narciarskich w Zakopanem. Założył ją także, gdy wybrał się przed świętami wycinać choinkę i gdy pozował do zdjęć podczas treningu ze sztangą. Potem te zdjęcia zamieścił oczywiście w mediach społecznościowych.

Identyczne czapeczki czy bluzy pojawiały się już podczas kampanii wyborczej ówczesnego kandydata na prezydenta, ale dziś znak towarowy „Nowrocky” jest już oficjalnie zastrzeżony. Motyw „Nowrocky” nawiązuje do słynnej filmowej postaci Rocky'ego i do sposobu, w jaki nazwisko polskiego prezydenta wymawia prezydent USA Donald Trump.

Jak podają Wirtualna Polska i Onet, spółka Nowrocky została zarejestrowana w Gdańsku przy ulicy Jana Heweliusza. Mieszczą się tu wirtualne biura do wynajęcia i prowadzenie działalności. Fizycznie nie znajduje się tam żaden sklep.

W ofercie ma koszulki, bluzy, czapki, kubki, zegarki, worki sportowe z logotypem „Nowrocky”.

„Nowrocky to marka stworzona z pasji do sportu i z wiary, że dobra energia zaczyna się od ludzi. Inspiruje nas ktoś, kogo wielu kojarzy z charakterem, solidnością i podejściem „biorę to na siebie”. Kto pokazuje, że siła to nie tylko mięśnie, ale też nastawienie” - czytamy na stronie sklepu internetowego.

Na tej samej stronie widać zdjęcia Karola Nawrockiego



Zdjęcie ze sportowcami podczas igrzysk w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo pochodzi z Kancelarii Prezydenta i jest udostępniane mediom. Ze strony nowrocki.pl już zniknęło

w ubraniach z logo gdańskiej firmy, także w towarzystwie naszych olimpijczyków. W sieci pojawiły się nawet pytania, czy wykorzystywanie wizerunku członków kadry olimpijskiej w okresie „Blackout Period” do celów reklamowych sklepu z gadżetami nie stanowi rażącego naruszenia reguły 40 Karty Olimpijskiej, co może skutkować wykluczeniem polskich zawodników.

„Ciekawe. Czy prezydent Nawrocki naraża polskich sportowców na wykluczenie z igrzysk w imię swojego ego i zarobków garderobianego następcy Red is Bad?” - pyta na platformie X posłanka Nowej Lewicy Anna Żukowska.

Na własnie: czy głowa państwa promuje firmę odzieżową? I jakie ma z nią związki?

Prezydent Karol Nawrocki ani Kancelaria Prezydenta nie pozostają w żadnej formalnej lub nieformalnej relacji o charakterze marketingowym czy też finansowym z marką odzieżową Nowrocky - przekonuje w rozmowie z Wirtualną Polską rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz. Jak zapewnia, ekspozycja elementów garderoby z widocznym logo podczas wydarzeń publicznych nie była elementem

żadnej uzgodnionej współpracy, działań promocyjnych czy też marketingowych.

- Nie wiązała się także z wykorzystaniem przez prezydenta żadnych korzyści - zapewnia Leśkiewicz.

Zrejestrowania wynika, że nazwa i logotyp marki są zastrzeżone. 5 listopada do Urzędu Patentowego trafił w tej sprawie wniosek od Niny Nawrockiej, siostry prezydenta Nawrockiego. Ta pojawiała się w ostatnim czasie w Pałacu Prezydenckim podczas spotkania z Dodą. Prywatnie jest cukiernikiem w jednej z gdańskich restauracji.

Kilkanaście dni później, 17 listopada 2025 roku, spółka NowRocky złożyła wniosek o wpis do Krajowego Rejestru Sądowego. Prezesem firmy został 34-letni Maciej Bartasun, który wcześniej działał w branży deweloperskiej i tej związanej z nieruchomościami. Z kolei z Centralnej Ewidencji Działalności Gospodarczej wynika, że od 2018 do 2025 roku prowadził jednoosobową działalność gospodarczą. Co ciekawe, jak pisze WP, firma na stronie internetowej na Facebooku zamieszcza zdjęcia autorstwa fotografów Kancelarii Prezydenta, a są one przecież wykorzystywane w celach ko-

mercyjnych. W mediach społecznościowych firmy regularnie pojawiają się również wpisy dotyczące działalności fundacji Pierwszej Damy „Blisko Ludzkich Spraw”. Właściciel, a może pracownicy, chwala się obecnością na wydarzeniach patriotycznych i sportowych, często podkreślając związek z prezydentem. Piszą chociażby, że podczas XVIII Ogólnopolskiej Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców na Jasnej Górze „drużyna Nowrocky” była obecna na miejscu z własnym stoiskiem. „Niezmienne mocna atmosfera, tysiące patriotów i wspólna modlitwa u stóp Matki Bożej. W wydarzeniu uczestniczył także prezydent Karol Nawrocki, mocno podkreślając jedność, wiarę i miłość do Polski” - czytamy na stronach spółki Nowrocky.

Czy prezydent wiedział o tym, że znak towarowy firmy zastrzegła Nina Nawrocka? I czy akceptuje też działalność polegającą na wykorzystywaniu jego wizerunku i nazwiska?

Prezydent Karol Nawrocki czy też Kancelaria Prezydenta nie ingerują w działalność prywatnego podmiotu gospodarczego. Swobodę prowadzenia działalności gospodarczej gwarantuje konstytucja. KPRP nie

odnosi się do prywatnych aktywności siostry pana prezydenta - mówi Wirtualnej Polsce rzecznik prezydenta.

WP podkreśla, że nie odnalazła „jednoznacznego powiązania między Karolem Nawrockim (i jego rodziną) a twórcą biznesu”.

Wiadomo jednak, że poza siostrą prezydenta, do której należy znak towarowy, pełnomocnikiem spółki został gdański radca prawny Adam Soszyński, który pracował w Muzeum II Wojny Światowej w czasach, gdy dyrektorem był tam Karol Nawrocki. Soszyński przyznaje, że zna prezydenta osobiście.

Prezes i właściciel Nowrocky sp. z o.o. Maciej Bartasun odmówił telefonicznej odpowiedzi na pytania Onetu o działalność spółki, prosząc o przesłanie ich e-mailem. Potem odesłał oświadczenie.

„Utworzenie spółki oraz sklepu internetowego jest inicjatywą prywatną prowadzoną przez osoby fizyczne i nie posiada oficjalnej autoryzacji Kancelarii Prezydenta RP ani Prezydenta RP. Zarówno Pan Prezydent Karol Nawrocki, jak również Kancelaria Prezydenta nie są w żaden sposób związani marketingowo czy finansowo z działalnością Nowrocky Sp. z o.o.” - pisze Bartasun.

Jednak szef spółki Nowrocky nie odpowiada wprost na pytania Onetu o umowę z Niną Nawrocką na korzystanie ze znaku towarowego „Nowrocky” i jej ewentualne warunki. Twierdzi jedynie, że „wykorzystywane w działalności spółki oznaczenia słowno-graficzne są objęte ochroną prawną i są używane w sposób zgodny z obowiązującymi przepisami oraz posiadanymi uprawnieniami”.

„Relacje spółki z osobami trzecimi mają charakter prywatnoprawny i są realizowane zgodnie z obowiązującymi przepisami” - dodaje Bartasun.

Odnosi się też do zarzutów o komercyjne wykorzystywanie wizerunku prezydenta.

„Wszystkie materiały zostały wcześniej opublikowane w sys-

temach teleinformatycznych Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, co biorąc pod uwagę instrukcje zamieszczone na stronie internetowej Kancelarii, w naszej ocenie uprawnia każdego obywatela do ich wykorzystania bez względu na cel” - twierdzi Maciej Bartasun.

I dodaje, że zdjęcia zostały już usunięte z mediów społecznościowych firmy, a sprawa zostanie wyjaśniona. Jeśli będzie to konieczne, spółka wystąpi o zgodę na ich użycie.

Co ciekawe, w środę, 11 lutego, przestała działać strona marki. W mediach społecznościowych sklep poinformował o ataku na domenę.

„Z powodu trwających ataków oraz używania zewnętrznych narzędzi funkcjonowanie strony jest zakłócanie. Powoduje to czasową niedostępność. Pracujemy intensywnie nad rozwiązaniem problemu i dokładamy wszelkich starań, aby strona wróciła do pełnej sprawności jak najszybciej” - podano w komunikacie.

Cóż, pytania i pewien niesmak jednak zostają.

Zapewne sprawą by nie było, gdyby ograniczyło się to do kampanii wyborczej. Niestety, jak widzimy, znacznie wyszło poza jej ramy. Nie wygląda to dobrze od strony etycznej - mówi WP Krzysztof Izdebski, prawnik i ekspert Fundacji Batorego. - Przypomniało mi się, jak przed laty Włodzimierz Cimoszewicz, który w przeszłości był premierem i szefem MSZ, wystąpił w czapeczce z logo jednej z firm. Akurat w tym przypadku było to przypadkowo. Mimo to wywołało wówczas ogromną burzę. Już wtedy słusznie podnoszono, że nie wypada osobom, które zajmują wysokie stanowiska publiczne, reklamowanie jakichkolwiek prywatnych firm - ocenia Krzysztof Izdebski.

I tłumaczy, że logotypy w kampanii, która jest de facto kampanią reklamową, są akceptowalne, ale nie poza nią.

- W tym przypadku mówimy już nie o kandydacie na prezydenta i kampanii wyborczej, ale o aktualnym prezydencie Polski. Firma niejako wykorzystuje więc autorytet głowy państwa do masowej produkcji swoich towarów. Budzi to niesmak. Tym bardziej że jeszcze w pamięci mamy aferę z firmą Pawła Sz. Red is Bad i patriotyczną odzieżą. Wtedy zachwalał ją były prezydent Andrzej Duda, teraz markę „Nowrocky” promuje obecny prezydent Karol Nawrocki - komentuje Krzysztof Izdebski.

Właśnie, przykład Andrzeja Dudy pokazuje jasno, że promocja marek odzieżowych nie wychodzi prezydentom najlepiej, a na pewno nie działa na ich korzyść. W każdym razie, jak wszyscy wiemy, właściciel firmy Red is Bad ma dzisiaj spore kłopoty i politycy niezbyt chętnie przyznają się do tej znajomości.

SEKS, AGENCJE I KASETY WIDEO, CZYLI NAGA PRAWDA O EROTYCZNYM ROZPASANIU POLAKÓW W LATACH 90.

35 lat temu Polacy zaczęli testować granice swobody obyczajowej. Kwitły agencje towarzyskie i sex shopy, bito seksualne rekordy Polski

Anna Gronczevska

Początek lat 90. to nie tylko przełom społeczno-polityczny, ale też seksualny. W Polsce zaczęły powstawać sex shopy, agencje towarzyskie. W kioskach „Ruchu” można było kupić pornograficzne gazety i kasety z takimi filmami.

Ta seksualna rewolucja w Polsce przebiegała szybko i efektownie. Już w 1990 roku w Warszawie powstał pierwszy w Polsce sex shop, czyli sklep z artykułami erotycznymi.

- Paweł Sitkiewicz, który w maju 1990 roku otworzył pierwszy sex shop w Warszawie, zastanawiał się, czy w Polsce znajdzie klientów na sztuczne pochwy - mówiła „Gazecie Wyborczej” Ewa Stusińska, autorka książki „Miła robotka. Polskie świerszyczki, harlekiny i porno z satelity”. - Ale kiedy pierwszego dnia rano przyjechał do pracy, przed sklepem czekał taki tłum, że ledwo dopchał się do wejścia. Ci ludzie wiedzieli, po co przyszedli. To już nie był PRLowski mechanizm stawiania w kolejce, bo coś dają. Działała aura Zachodu. Popularność sex shopów napędzało wyobrażenie o jakiejś niezwyklej rozkoszy, która nam w prząsnym PRL-u nie była dana, a która potem okazała się dość prozaiczna.

„Ja też chciałam zobaczyć”

Łódź nie chciała być gorsza od Warszawy. Pierwszy sex shop mieścił się przy ul. Próchnika. Budził wielką ciekawość, ale i zawstydzenie. Katarzyna miała wtedy 20 lat i studiowała prawo na Uniwersytecie Łódzkim.

- Gdy usłyszałam o takim sklepie w Łodzi, bardzo mnie to zaciekało - opowiada. - Nie to, że byłam jakąś erotomanką. Po prostu chciałam zobaczyć jak wyglądają te seksualne narzędzia. Razem z koleżanką chyba kilka razy miałyśmy drzwi tego sklepu zanim zdecydowałyśmy się je otworzyć. Wyczekałyśmy na moment, gdy nikt w pobliżu nie przechodzi. W środku było kilku panów, którzy dziwnie na nas spojrzeli. To, co zobaczyłyśmy, nas zszokowało. Najbardziej dmuchana lalka, majtki z dziurką, bluzeczka z samych boków i biustonosz ze skóry. A także dziwne urządzenie przypominające pe-

nisa. Nie wiedzieliśmy, że to wibrator.

Od broni gazowej do smakowych prezerwatyw

Przed laty o swoich doświadczeniach z seksbiznesem opowiadał na łamach „Expressu Ilustrowanego” właściciel trzech sex shopów w Łodzi.

- Otwieraliśmy z kolegą sklep z bronią gazową, a że ta sama hurtownia zaopatrywała sex shopy, zaryzykowaliśmy - mówił. - Z czasem artykuły erotyczne zaczęły sprzedawać się coraz lepiej, a bronią mało kto się interesował. W tamtych czasach sam fakt istnienia smakowych prezerwatyw budził zdziwienie. Zaczynaliśmy od trzech: pomarańczowego, cytrynowego i truskawkowego. Potem było ich co najmniej 40. Podobnie było z kasetaми wideo. Kiedyś sprzedawał się każdy film erotyczny, a potem klient wybierał spośród tysięcy.

Dziś sex shopy dalej istnieją, ale mają ściśle zasłonięte witryny. Przed laty tak nie było. Z wystawowych okien klientów kusily skąpo odziane manekiny, erotyczne artykuły.

W Łodzi powstawały kolejne sex shopy, ale ten biznes budził oburzenie wielu Łódzian. W 2001 roku wybuchła afeta, gdy sex shop otwarto na ul. Lindleya, naprzeciwko rektoratu Uniwersytetu Łódzkiego. Ówczesny rektor Stanisław Liszewski wystosował apel do prezydenta Łodzi Krzysztofa Panasa i wojewody Michała Kasińskiego o zamknięcie tego sklepu, który miał pogorszyć ciało pedagogiczne i odciągać uwagę studentów od nauki.

Peep show w budce na giełdzie

Ale rewolucja seksualna to nie tylko sex shopy. Krzysztof, łódzki biznesmen, na początku lat 90. był częstym gościem największej giełdy samochodowej w Słomczynie pod Warszawą.

- Przed jedną z ustawionych tam budek, przypominających wóz Drzymały, stała długa kolejka złożona z samych mężczyzn - wspomina. - Zaciekało mnie, co tam się dzieje. Okazało się, że był to rodzaj peep shopu. W budce było małe okienko



W latach 90. nikt nie zasłaniał witryn

przez które przez trzy minuty można było oglądać rozebraną dziewczynę wykonującą obsceniczne ruchy. A wszystko za odpowiednią opłatą.

W łódzkiej prasie zaczęły się pojawiać już nie tylko ogłoszenia matrymonialne. Początkowo bardzo niewinne, a jak to z listopada 1990 roku, które ukazało się w „Dzienniku Łódzkim”: „Poznam panią, z którą spędzę sylwestra. Nie umiejącą tańczyć, bezpruderijną”.

Z czasem w gazetach można było przeczytać oficjalne ogłoszenia agencji towarzyskich. Pojawił się jednak pewien problem.

- Ogłoszenia nie były tanie, a te, które ukazywały się w rubryce „towarzyskie”, były droższe od innych - wspomina Jacek, biznesmen z Pabianic. - Dlatego płacono za umieszczanie ogłoszeń w rubryce „praca”. Ich treść brzmiała: „Przyjmę pracę, każdą”. Zainteresowani wiedzieli co to oznacza.

Jacek zwraca uwagę, że pracownikami agencji towarzyskich były najczęściej ubogie

dziewczyny, które po transformacji nie mogły znaleźć pracy, albo studentki.

- W mojej firmie potrzebowaliśmy pomocy księgowej - opowiada Jacek. - Daliśmy ogłoszenia, przyszło z 250-300 listów. W co drugim było zdjęcie roznegliżowanej dziewczyny. Myślały, że dzięki temu zdobędą szybciej pracę lub jest to oferta agencji towarzyskiej.

Przydrożne dziewczyny

To w początkach lat 90. przy polskich drogach pokażały się dziewczyny chcące świadczyć usługi seksualne. Nazwano je tirówkami, bo ich klientami byli najczęściej kierowcy TYR-ów.

Rewolucja seksualna zawiątała też do kiosków „Ruchu”. Z ich witryn „krzyczały” erotyczne pisma. Z jednym z takich kolorowych tygodników wiąże się smutna historia. W Błaskach, w województwie łódzkim, mieszkało młode małżeństwo. Nie wiodło się im dobrze, nie mieli stałej pracy, a na utrzymaniu dzieci. Zdesperowani zgłosili się do ero-



Nastąpiła eksplozja seksualnych usług



Sklepy oferowały kuszącą bieliznę

tycznego tygodnika i postanowili wspólnie zapoznać. Tygodnik z ich zdjęciami trafił do kiosków w Błaskach. Para została natychmiast rozpoznana. Młodzi ludzie wstydzi się wyjść na ulicę. Tłumaczyli potem, że nie zarobili dużo, starczyło na spłacenie długu w sklepie.

Natomiast Jacek pamięta jak na witrynie jednego z kiosków w Pabianicach reklamowano kasety pokazujące bicie rekordu świata w sexie. Polka w ciągu jednego dnia „obsłużyła” ponad 500 panów. Robiła to publicznie na targach erotycznych w Warszawie. Niedługo potem jej rekord pobiła jej rodaczka o pseudonimie Marianna Rokita. Otrzymała 759 stosunków.

Porno z kasety i satelity

Erotyka zagościła też do domów wielu Polaków, a to dzięki telewizji satelitarnej i wypożyczalniom kaset wideo. W wielu znajdowała się specjalna półka z pornofilmami.

- Na wypożyczenie filmów dla dorosłych było wielu chętnych - wspomina Andrzej,

który w Łodzi prowadził taką wypożyczalnię. - Amatorami byli głównie panowie. Niektórzy wstydzi się wypożyczać takie filmy. Jedni dochodzili do tej półki, gdy nikogo nie było. Inni podchodzili do mnie i porozumiewawczo mrugali okiem.

Natomiast w przejściu podziemnym, na skrzyżowaniu ul. Sienkiewicza i al. Piłsudskiego, działał sklep, w którym można było się wymienić się filmami porno.

- To pomysł mojego szefa - wyjaśniała „Expressowi Ilustrowanemu” sprzedawczyni. - Aby wymienić „Pobaw się moją pupą” na „Zróbmy to w grupie” wystarczy zapłacić 7 zł i oddać film w dobrym stanie. Wychodzi taniej niż kupno nowego, który kosztuje 15 zł.

Wraz z czasem przełomu do domów wielu Polaków zawiątała telewizja satelitarna. Niemieckie stacje, na przykład RT, lubiły późnym wieczorem emitować filmy dla dorosłych.

- Kiedy żona i dzieci poszli spać, lubiłem sobie włączyć taki filmik - wspomina Jacek. - To były czasy...

MINISTER BALCZUN O PLANACH I DEFINICJI, KTÓRA ZMIENI PRZYSZŁOŚĆ

Minister aktywów państwowych komentuje sytuację i zmiany w największych spółkach Skarbu Państwa. W rozmowie ze „Strefą Biznesu” Wojciech Balczun mówi o kulisach negocjacji z pracownikami JSW, granicach pomocy państwa oraz o tym, jak rząd chce zwiększyć udział polskich firm w największych projektach energetycznych i infrastrukturalnych

Rafał Kerger

Jest porozumienie z JSW. Jak wyglądały negocjacje z pracownikami wokół ratowania Jastrzębskiej Spółki Węglowej z perspektywy ministra aktywów państwowych?

Sytuacja jest bardzo trudna i żadne zaklinanie rzeczywistości nie jest w stanie zmienić obiektywnego stanu finansów JSW. W pomoc JSW zaangażował się nie tylko MAP, ale i Ministerstwo Energii oraz Ministerstwo Finansów. W rządzie wykazujemy wielką determinację, aby uratować spółkę. Poświęciliśmy setki godzin na rozmowy, skutecznie zabiegaliśmy z ministrem Motyką u ministra finansów i gospodarki, aby objąć JSW ustawą o ekologię. Szukamy rozwiązania, które zapewniłoby utrzymanie płynności przez JSW.

Czy węgiel z JSW jest rzeczywiście niezbędny? W hutach coraz częściej stosuje się piec łukowy, czyli piec elektryczny, w którym wsad nagrzewany jest łukiem elektrycznym.

To jest dobrze postawione pytanie. Faktycznie, perspektywa jest taka, że udział węgla koksowego w produkcji stali będzie spadał. Spółka też się do tego musi dostosować. Natomiast z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa pozyskiwanie węgla koksowego jest ważne. Dlatego nikt nie mówi o wygaszeniu działalności JSW i stąd też nasza determinacja, żeby JSW ten trudny okres – chyba najtrudniejszy w historii – przeżyła.

To nie jest pierwszy raz, kiedy spółka ma problemy. JSW działa na rynku mocno zależnym od koniunktury, dlatego spółka powołała swego

czasu fundusz stabilizacyjny. Wiemy, co się stało, gdy węgiel z Indonezji i Australii zalał rynek światowy, znacząco obniżając ceny węgla koksowego. To bezpośrednio uderzyło w JSW, a okres dekonstrukcji tym razem okazał się wyjątkowo długi, czego prawie nikt się nie spodziewał.

Mamy nowego prezesa PGE. Spodziewamy się aktualizacji strategii największej spółki energetycznej. W jakim kierunku ta strategia powinna podążać?

Prezes PGE, Dariusz Lubera, jest niekwestionowanym autorytetem w branży energetycznej w Polsce. Pozostali prezesi spółek energetycznych to w większości jego wychowankowie. To optymalne połączenie kompetencji i doświadczenia, które jest w PGE bardzo potrzebne. Reakcja rynków zdaje się potwierdzać, że była to właściwa zmiana. Z moich rozmów z prezesem Lubera wynika, że strategia Grupy będzie weryfikowana, przede wszystkim pod kątem CAPEX-u: zarówno w odniesieniu do całej strategii inwestycyjnej, jak i docelowego miks energetyczny. W końcu 2025 roku odbyła się pierwsza aukcja mocy dla morskich farm wiatrowych w której PGE skutecznie wzięła udział. Spółka będzie pewnie balansować swój model działalności w kontekście priorytetów inwestycyjnych. Na pewno będzie kontynuować inwestycje w rozwój magazynów energii. Przed PGE stoi także bardzo poważna decyzja, czyli wybór drugiej lokalizacji dla elektrowni jądrowej: potencjalnie są to okolice m.in. Bełchatowa. Myślę, że Dariusz Lubera przy-

rzy się też kosztom i efektywności poszczególnych struktur, które działają w ramach tej potężnej grupy kapitałowej. Po rozmowach z prezesem jestem optymistą co do perspektyw i kierunków rozwoju grupy PGE.

Spodziewa się Pan, że dożyje uruchomienia elektrowni atomowej w Polsce? Cóż, życie słucham, że budujemy elektrownię atomową, a pamiętam lata 80. poprzedniego wieku.

Proces został rozpoczęty – elektrownia ruszy tak szybko, jak to możliwe, czyli w kolejnej dekadzie. Finansowanie jest zapewnione. Rozpoczęły się przetargi, budowane są kompetencje. To już jest konkretny. Chcemy zadbać o udział polskich firm przy tym projekcie, czyli tzw. local content, podobnie jak przy innych wielkich strategicznych inwestycjach państwa polskiego. Warto pamiętać, że Polski Program Energetyki Jądrowej przewiduje wsparcie krajowego przemysłu w przygotowaniach do udziału w budowie i eksploatacji elektrowni jądrowych – jest o tym mowa w części dotyczącej systemu monitorowania i mierników realizacji tego programu. Zgodnie z tym dokumentem zaangażowanie krajowego przemysłu (skumulowany procentowy udział w łącznej wartości projektu) w 2026 roku ma sięgnąć 10 procent i sukcesywnie rosnąć, by w 2033 roku sięgnąć 40 procent.

Z kim druga atomówka w Bełchatowie? Z Francuzami, z Koreańczykami?

Nie odpowiem teraz na takie pytanie. Kluczem jest to, żeby

przyglądać się najlepszym praktykom. Wiemy, kto jest naszym partnerem przy pierwszej lokalizacji. Wiemy, że mamy jeszcze w tle SMR-y. Jest na tym polu istotne przyspieszenie i determinacja, aby rozwijać to źródło energii.

Rozmawiam często z biznesmenami i z zarządnymi firm z większościowym polskim kapitałem, które uczestniczą w projektach infrastrukturalnych, ale też w transformacji energetycznej. I oni chcą większego udziału w kluczowych projektach, na przykład budowie elektrowni atomowej. Natomiast mają też obawę o to, że nie ma do tego narzędzi – de facto zamawiający często nie są w stanie wyłonić zgodnie z prawem polskiej firmy.

To jeden z priorytetów Ministerstwa Aktywów Państwowych i rządu na drugą część kadencji, a jednocześnie zagadnienie bardzo złożone. Dlatego powołałem zespół przy MAP, który wypracowuje odpowiednie rozwiązania. Trzeba mieć świadomość, że to jest priorytet o znacznie dłuższym horyzoncie niż tylko perspektywa najbliższych dwóch lat. To jest projekt na dekady. W zespole pracującym pod auspicjami MAP są przedstawiciele wielu instytucji państwowych i ministerstw. Konsultujemy się też z organizacjami pracodawców i przedsiębiorców oraz izbami handlowymi. Mogę powiedzieć, że jednym z pierwszych namacalnych efektów jego prac jest uwzględnienie przez Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej w projekcie Strategii Rozwoju Polski do 2035 r. propozycji zespołu dotyczących zwiększenia

komponentu krajowego w procesach inwestycyjnych sektora publicznego. Zwracam uwagę, że ta strategia to najważniejszy dokument strategiczny rządu w obszarze polityki gospodarczej, który będzie punktem odniesienia dla wszystkich instytucji publicznych przy tworzeniu ich strategii działania. Wszyscy, którzy chcieli wziąć udział w tej dyskusji, byli zapraszani do przedstawienia rekomendacji dla zespołu, bo temat jest złożony i wielowymiarowy. Finiszujemy w kwestii definicji local content i sposobie jego mierzenia. Zachęcamy też GUS, by podjął się zaprojektowania i realizacji cyklicznego badania statystycznego wieńczonego raportem dotyczącym udziału local content w inwestycjach lub kontraktach realizowanych w ramach kluczowych programów i strategii rządowych, w których państwo generuje duży popyt. Byłoby to pionierskie przedsięwzięcie, bo urzędy statystyczne z innych krajów UE nie prowadzą takich badań. Informacje gromadzone w ramach takiego projektu byłyby przydatne dla prowadzenia polityki gospodarczej przez rząd. Pracujemy nad tym, aby proponowane rozwiązania były zgodne z prawem unijnym, nie dyskryminujące wobec inwestorów zagranicznych; jednocześnie przyglądamy się najlepszym praktykom z krajów UE i nie tylko. Local content dotyczy sfery miękkiej – ma to być zestaw bardziej wytycznych, wskazówek dotyczących sposobu patrzenia na to, jak np. przedsiębiorca wpływa na lokalne społeczności, czy kształtuje swoje łańcuchy dostaw w sposób uwzględniający zrównoważony rozwój i ochronę środowiska, czy bierze pod uwagę bezpieczeństwo dostaw lub danych.

Czy takie dodatkowe kryteria można wpisać do zamówienia na przykład?

Ze względu na prawo UE w przypadku zamówień publicznych nie da się zapisać szytych kryteriów, które premiowałyby polską firmę. Jesteśmy jednak w stanie wiele rzeczy zrobić, aby polskie firmy były włączane w łańcuchy dostaw. Wiele zależy od przeprowadzenia przez zamawiającego starannej analizy potrzeb i wymagań co do danego zamówienia oraz od przyjętych kryteriów niecenowych decydujących o udzieleniu zamówienia. Mój resort postulował, by nowa edycja Polityki Zakupowej Państwa do 2029 roku, która w ciągu kilku tygodni ma trafić pod obrady rządu, kładła akcenty na te kwestie i Ministerstwo Rozwoju i Technologii jako gospodarz tego dokumentu podzieliło nasze stanowisko. To zachęci zamawiających publicznych, by przy projektowaniu zamówień mieli na uwadze komponent kra-

jowy jako coś istotnego. Jestem absolutnie zdeterminowany, aby to się udało. Musimy włączyć myślenie po polsku. Tak robią Francuzi, tak robią inne państwa: strzegą swoich interesów. A local content jest w polskim interesie. Biorąc powyższe pod uwagę, definicja local content powinna być dosyć ogólna, maksymalnie pojemna, bo poszczególne branże mają swoją specyfikę i nie da się tego zrobić w sposób bardzo sztywny, zero-jedynkowy. Kończymy właśnie konsultacje. Ci, którzy nie wzięli w nich dotychczas aktywnego udziału, muszą poczekać na kolejny etap prac.

A w tej definicji padnie jakiś procent udziału polskich firm?

W samej definicji nie wskazyjemy takiego procentu. To jest bardziej kwestia tego, kogo będziemy traktowali jako local content. Przykładowo, czy największa firma w danej branży w Polsce, działająca, zatrudniająca tysiące osób, płacąca tutaj podatki, ale mająca właściciela zagranicznego, jest polską firmą, czy nią nie jest? Planujemy w drugiej części lutego przedstawić definicję, a następnie będziemy o tym dyskutować 2 marca w Szczecinie podczas kongresu „Energia z Polski, local first”, w którym wezmą udział największe spółki Skarbu Państwa.

Czy zespół do spraw udziału komponentu krajowego w kluczowych procesach inwestycyjnych zakończy potem prace?

Nie, oczywiście, że nie. Będzie dalej pracował i wypracowywał rozwiązania dla MAP na potrzeby prowadzenia polityki właścicielskiej w zakresie promowania komponentu krajowego. Nie da się na starcie przewidzieć wszystkich wariantów. To wyzwanie historyczne. Polska, która stała się dwudziestą gospodarką świata, przeszła już ten niemożliwy okres uczenia się, budowania kompetencji, a w tej chwili staje się świadoma swojej siły. Wie też, w jaki sposób kształtować rynek w zgodzie z regulacjami unijnymi, aby dalej zapewniać wysoki wzrost gospodarczy. Dzięki tym rozwiązaniom polskie firmy, nie państwowe, ale głównie z sektora małych i średnich przedsiębiorstw, będą beneficjentami bezprecedensowego programu inwestycyjnego, który nas czeka w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

A na przykład krytycy programu SAFE mówią o tym, że to będą środki na uzbrojenie z Niemiec i z Francji i local content nie będzie wcale.

Domyślam się, kim są ci krytycy. Oni byli autorami sytuacji, w której większość nakładów inwestycyjnych w sektorze zbrojeniowym na wielką skalę zasilają portfele zagranicznych producentów. Co gorsza, za-



FOT. ADAM JANKOWSKI

Wojciech Balczun: Polska, która stała się dwudziestą gospodarką świata, przeszła już okres budowania kompetencji, a w tej chwili staje się świadoma swojej siły

zwyczaj nie otrzymywaliśmy wystarczającego przygotowania i wsparcia technicznego, utrzymaniowego dla kupowanego sprzętu. Mamy dużo większą świadomość tego, jak ważne jest budowanie kompetencji lokalnych, i to dotyczy zarówno rozwoju spółek z grupy PGZ, jak również całego prywatnego sektora obronnego, który obecnie bardzo dynamicznie się rozwija. W Polsce powstaje dużo ciekawych projektów i to naturalne, że realizacja programu SAFE będzie mieszanką naszych kompetencji i doświadczenia międzynarodowych partnerów. Należy jednak podkreślić: ponad 80% środków z SAFE zostanie zainwestowanych w Polsce.

Czyli, krótko mówiąc, PGZ będzie poważnie zaangażowana.

Tak, i nie mówimy tylko o SAFE, tylko o całym programie inwestycyjnym, który jest realizowany przez Polskę. Przecież nakłady na obronność tylko w tym roku, i to bez SAFE, wyniosą około 200 miliardów złotych. Realizujemy bezprecedensowe programy, a PGZ jest bardzo aktywna.

Osobiście nie widzę nic złego w kupowaniu uzbrojenia z Francji i z Niemiec, jeśli nie

mamy swojej technologii. Czy Pan widzi w tym coś złego?

Nie widzę nic złego w kupowaniu uzbrojenia, jeśli z analiz MON wynika, że jest to konieczne. Żyjemy w trudnych czasach, sytuacja geopolityczna jest złożona, trudno przewidzieć, co się wydarzy. Musimy się przygotowywać również na najgorsze scenariusze. W związku z tym, im więcej będziemy mieli zbudowanych rodzajnych kompetencji w zakresie obronności, tym lepiej. Przy okazji wydatki na zbrojenia są gigantycznym kołem zamachowym dla gospodarki, a zwłaszcza impulsem dla spółek z grupy PGZ, które produkują fantastyczne wyroby mające zastosowanie w sektorze zbrojeniowym i cywilnym. PGZ już teraz ma wiele produktów, które cieszą się powodzeniem na rynkach zagranicznych, a będzie ich jeszcze więcej.

A co będzie z Anwilem i z Polska Press z Grupy Orlen, panie ministrze?

W szerszym kontekście przyszłość Anwilu zależy od procesu porządkowania i działań restrukturyzacyjnych w ramach Grupy Orlen. Patrzymy też na Anwil w kontekście trwa-

jącej głębokiej restrukturyzacji Grupy Azoty. W Azotach mamy wypracowany model funkcjonowania spółki zorientowanej na core business. Pamiętamy, jak bardzo ciągnie Azoty w dół projekt Polimery Police. W tej materii jesteśmy w trybie arbitrazowym z wykonawcą tej inwestycji, ale też liczymy na to, że mimo trwającego sporu jest przestrzeń do rozmowy i do szukania porozumienia.

A Polska Press?

Mamy świadomość, że decyzja o nabyciu Polska Press przez Orlen nie była uzasadniona merytorycznie, lecz wynikała z potrzeb propagandowo-politycznych. Teraz jesteśmy w trakcie dyskusji dotyczącej systemowych rozwiązań. Nie chcę tutaj wchodzić w szczegóły, bo wielu interesariuszy z rynku medialnego patrzy w stronę Polska Press - firma może być jakimś kaskiem nie tylko ze względu na tradycyjny profil działalności, ale przede wszystkim na to, że jest mocna w internecie.

Skarb Państwa ma udziały w około 400 podmiotach. Czy MAP może powrócić do prywatyzacji?

To jest takie słowo, które od razu powoduje gęsłą skórę

u niektórych i staje się natychmiast paliwem politycznym do atakowania rządu. Wiemy, jak wygląda lista spółek o znaczeniu strategicznym dla państwa i to są kluczowe podmioty, w tym publiczne, czyli giełdowe. One będą kontrolowane przez państwo. Ale jest też zasób spółek mniejszych, które w tym zasobie państwowym pozostają. Wzrosty cen spółek z udziałem Skarbu Państwa notowanych na GPW były w zeszłym roku imponujące, a ich kapitalizacja jest rekordowa. Dwie spółki przekroczyły wycenę 100 miliardów złotych. Wyniki się poprawiły i widać, że inwestorzy indywidualni i instytucjonalni znów wierzą w te podmioty. Przecież nikt nikogo nie zmusza do inwestowania w spółki z udziałem Skarbu Państwa, a inwestorzy kupują akcje i mają z tego tytułu zyski - w tej grupie są także polscy przyszli emeryci posiadający fundusze emerytalne takie jak PPK i OFE czy inne fundusze inwestycyjne. Spółki są dużo lepiej zarządzane, dużo bardziej efektywne i generują bardzo dobre wyniki finansowe w sposób naturalny i oczywisty, a nie przez różnego rodzaju sztuczną multiplikację potencjału - bo przecież wiemy, że z takimi rzeczami mieliśmy do czynienia w przeszłości. Na przykład Daniel Obajtek chwali się, że Orlen miał lepsze wyniki za jego kadencji, ale choćby przejście takiej spółki, jak PGNiG, nie było transakcją komercyjną. Skarbowi Państwa nie przyniosło to korzyści, skorzystał tylko Orlen.

Wspominał Pan o prezesie Obajtku. W spółkach powołano pełnomocników do spraw rozliczeń poprzedniej ekipy - jakie są efekty ich pracy?

Tytułem wstępu do tego tematu chciałbym podkreślić, że patrzymy na spółki przez pryzmat odpowiedzialnego i nowoczesnego zarządzania majątkiem państwowym. Takiego zarządzania, które pozwala lepiej wykorzystać dostępne zasoby, budować synergie między podmiotami i skutecznie rozwiązywać realne problemy tam, gdzie one faktycznie występują. Taką rolę dla MAP jako procesowego właściciela w tych procedurach widzę. Pierwsze miesiące mojej aktywności wyraźnie pokazały, że wiele rzeczy przyspieszyło, że pewne tematy, które były odłożone na półkę albo były nierozwiązywalne, nagle ruszyły do przodu. Dysponując realnym wpływem na poszczególne podmioty, możemy uruchomić znacznie większy potencjał, pod warunkiem aktywnego zaangażowania w kluczowe procesy. Nie ukrywam, że korzystam tu ze swojego wieloletniego doświadczenia praktycznego w byciu menedżerem i przedsiębiorcą,

który doświadczał też wzlotów i upadków. To w żadnym stopniu nie uderza w zasady ładu korporacyjnego, które przestrzegamy i szanujemy. W zakresie rozliczeń rolę pełnomocników jest odciążenie spółek od zadań, które angażują ich struktury w liczne bieżące obowiązki związane z podstawową działalnością operacyjną. Po drugie, chodzi o efektywność i zaangażowanie w relacjach na przykład z prokuraturą, gdzie pełnomocnicy, reprezentujący stronę pokrzywdzoną, mają prawo brać udział w czynnościach, zadawać pytania, uzupełniać materiały.

A co było źle w KGHM-ie i czy będzie teraz lepiej?

KGHM jest w specyficznym momencie, dlatego że bardzo sprzyja mu rynek, kurs akcji rośnie, bo ceny miedzi, srebra, złota i platyny są wysokie. Pozytywnie wpływa to na wycenę tej spółki. Jednak od strony operacyjnej wiele rzeczy może być realizowane lepiej i szybciej - spojrzeliśmy na to z punktu widzenia nadzoru właścicielskiego, a rada nadzorcza podjęła wiadomą decyzję, odwołując prezesa.

Który prezes KGHM w ostatnich 20 latach był Pana zdaniem najlepszy?

(Uśmiech). Nie wezmę udziału w tej sondzie. Wierzę, że ten, którego powołamy, będzie najlepszy.

W jakim kierunku powinien poprowadzić KGHM?

Jesteśmy teraz w okresie przejściowym. Mam nadzieję, że on będzie maksymalnie krótki. Następuje też konsekwentne porządkowanie aktywów zagranicznych KGHM - dotyczy to Sierra Gorda oraz aktywów w Stanach i w Kanadzie. Wiele rzeczy jest do zrobienia, przed zarządem spółki stoją duże wyzwania.

KGHM powinien dalej inwestować za granicą?

To jest kierunek rozwoju wielu polskich firm. Nazywamy to internacjonalizacją - to naturalna kolej rzeczy dla wielkich koncernów. Dobry jest przykład Hiszpanii i wielkich inwestycji infrastrukturalnych finansowanych właścicielami unijnymi. Pozwoliło to Hiszpanom zniwelować zapóźnienia, wybudować nowoczesną infrastrukturę. Przy okazji powstały gigantyczne firmy budowlane, które są dziś graczami światowymi i radzą sobie dobrze, mimo że w Hiszpanii nie ma już wielkich projektów infrastrukturalnych, takich jak autostrady czy linie kolejowe. Firmy te przeniosły się m.in. na rynek Polski, gdzie realizujemy olbrzymie projekty inwestycyjne. Natomiast Polska liczy dziś na jak najszybsze zakończenie wojny w Ukrainie i bezprecedensowy

projekt jej odbudowy. Polskie firmy powinny mieć rolę wiodącą w projekcie, a Polska jest i będzie naturalnym hubem dla tych wielkich procesów inwestycyjnych, które w Ukrainie będą się działy.

Pan akurat ma spore doświadczenie z Ukrainy. Które spółki z Polski mają największe szanse w ewentualnej odbudowie?

Proces odbudowy trzeba rozumieć bardzo szeroko. To nie tylko odtworzenie zniszczonej infrastruktury: budynków, mostów, linii kolejowych, sieci energetycznych czy portów, ale także stworzenie nowoczesnych sektorów, takich jak finanse czy energetyka paliwowa. Kluczowe nasze firmy już są w Ukrainie: Orlen, BGK, KUKE mają swoje biura, ARP się bardzo mocno przymierza do tego, PKO BP ma bank - Kredobank. Uważam, że mamy bardzo dobry punkt startowy, ale musimy myśleć w szerokim wymiarze, żeby nasza rola w odbudowie Ukrainy odzwierciedlała nasze olbrzymie wsparcie dla Ukrainy i Ukraińców.

Jak oceniacie w MAP perspektywę Krajowej Grupy Spożywczej?

Krajowa Grupa Spożywcza jest już zaudytowana. Trwają jeszcze ostatnie analizy dotyczące modelu biznesowego, kosztowego i zatrudnienia. Jest przeprowadzany proces tzw. etatyzacji. Wiemy, co należy poprawić i usprawnić - zajmuje się tym Grzegorz Wrona, podsekretarz stanu w MAP.

Czy taka spółka mogłaby przejąć aktywa Carrefour w Polsce?

Po pierwsze, KGS nie dostała oferty. Po drugie, należałoby się przyjrzeć szerzej rynkowi detalicznemu w Polsce i sieciom, które na tym rynku funkcjonują. Są to sieci również polskie, detaliczne bądź półhurtowo-detaliczne, które powinny się rozwijać i mogą być konsolidowane.

Czy Polski Holding Hotelowy jest potrzebny Skarbowi Państwa i jaką rolę widzi Pan dla tej spółki?

Polski Holding Hotelowy to bardzo duża struktura, dysponująca ponad 60 obiektami turystycznymi. Zarządza hotelami znanych światowych marek na zasadzie franczyzy i ma duże doświadczenie i kompetencje. Firma się rozwija, realizuje dużo projektów inwestycyjnych, w tym także te najbardziej spektakularne. Oczywiście na końcu pojawia się pytanie, czy PHH powinien funkcjonować jako spółka w 100% należąca do Skarbu Państwa, czy też możliwe jest znalezienie innego sposobu - takiego, który nie wykluczałby wpływu państwa na spółkę. Nad tym się zastanawiamy.

9-LATEK NAJSZYBSZY W HISTORII. UŁOŻYŁ KOSTKĘ RUBIKA W MNIEJ NIŻ 3 SEKUNDY

Po raz pierwszy w historii - nie Polski, ale całego świata - ktoś ułożył tradycyjną kostkę Rubika w czasie poniżej trzech sekund. Wcześniejsi rekordziści zbliżali się do tej granicy coraz bardziej, lecz małymi krokami. Podczas zawodów w Gdańsku barierę przełamał 9-letni Teodor

Andrzej Kowalski

Młody gdańszczanin na rekord zapracował, poznając łamigłówkę na poziomie profesjonalisty, a w kluczowym momencie wykazał się także niesamowitym instynktem – i zapisał się w historii.

Speedcubing nie jest dyscypliną, która na co dzień przyciąga tysiące widzów, ale ma oddanych pasjonatów. To w gruncie rzeczy sport umysłowy, któremu w klasyfikacji najbliższe do szachów. Polega na jak najszybszym ułożeniu pomieszczonej kostki Rubika (i jej odmian) według ustalonych zasad. Zawodnicy prezentują refleks, pamięć, koncentrację i precyzję na oficjalnych zawodach, gdzie czas odmierza się z dokładnością do setnych sekund.

Podczas takich właśnie zmagania, w trakcie turnieju GLS Big Cubes 2026 w Gdańsku, doszło do rzeczy niebywale. 9-letni chłopiec pobił rekord i jako pierwsza osoba na świecie przekroczył barierę trzech sekund w rozwiązywaniu klasycznej kostki 3x3x3. Dokładnie 2,76 sekundy zajęło Teodorowi Zajdrowi z Gdańska wykonanie... 29 ruchów. Sprawa naprawdę niezwykła.

Jak wyjaśnia w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim” Patryk Milewczyk, prezes Polskiego Stowarzyszenia Speedcubingu, zawody organizowane w Gdańsku 8 lutego 2026 roku zapisały się już na kartach historii.

– To historyczny moment – pierwsze przełamanie bariery trzech sekund – podkreśla Patryk Milewczyk. – Oznacza to, że podczas oficjalnych zawodów, pod nadzorem delegata, uzyskano wynik poniżej trzech sekund. W trakcie domowych treningów zdarzało się już osiągać takie czasy, więc wielu z nas wiedziało, że złamanie tej gra-

nicy na oficjalnych zawodach jest tylko kwestią czasu. Mimo to chwila, w której stało się to naprawdę, w warunkach turniejowych, była absolutnie niepowtarzalna.

Żeby zrozumieć, jak do tego niezwykłego momentu doszło, trzeba przyrzeć się bliżej samej dyscyplinie. Przed ułożeniem kostki każdy zawodnik ma 15 sekund na analizę układu i zaplanowanie ruchów. Jak wyjaśniają zawodnicy, większość osób układa kostkę metodą CFOP, w której ostatnią warstwę rozwiązuje się w dwóch krokach: najpierw ustawia się elementy właściwą stroną do góry, a następnie przestawia je na odpowiednie miejsca.

Istnieje jeszcze bardziej zaawansowana technika – ZBLL – która pozwala połączyć te dwa etapy w jeden. Oszczędza ułamki sekund, ale wymaga nauczania się niemal 500 przypadków. Metodę tę stosują głównie speedcuberzy walczący o rekordy świata.

Dzięki błyskawicznej reakcji – mowa tu o ułamkach sekund – Teodor przeszedł z jednej metody (CFOP) w drugą (ZBLL), bo pozwolił mu na to układ kostki. W czasie poniżej trzech sekund zdążył dostrzec właściwość i zmienić taktykę.

– Pod koniec zaplanowanej sekwencji ruchów Teodor zauważył, że ostatnie elementy może ułożyć w inny sposób i dzięki temu uzyskał lepszy wynik. Rekord poprawił bardzo wyraźnie – o 0,29 sekundy. A w ostatnich latach poprzeczka była podnoszona minimalnie, nawet o 0,03 sekundy – opowiada prezes Polskiego Stowarzyszenia Speedcubingu Patryk Milewczyk.

Teodor dokonał rzeczy naprawdę niesamowitej, ale z pewnością nieprzypadkowej. To efekt lat treningów, setek algorytmów – czyli sekwencji ru-



Już w wieku czterech lat, według relacji rodziców, Teodor potrafił ułożyć kostkę, a algorytmów uczył się od brata

chów – oraz ogromnego talentu.

– W układaniu na czas bardzo ważne są refleks, szybkie ręce i duża dyscyplina treningowa – mówi Patryk Milewczyk. – Zawodnicy uczą się se-tek, a nawet tysięcy zestawów

algorytmów, dlatego ta dyscyplina znakomicie rozwija pamięć. Oprócz ich znajomości wykorzystuje się twórcze podejście do ich stosowania, planowanie pierwszych etapów ułożenia już podczas preinspekcji oraz intuicyjne tworze-

nie rozwiązań w trakcie układania. Do tej samej sytuacji na kostce można podejść na wiele sposobów, dlatego bardzo istotne są logiczne myślenie i wyobrażenia przestrzenne.

Jak zaczęła się przygoda Teodora z nietypową dyscy-

pliną? Dla niewtajemniczonych historia dziecka bijącego rekord świata w tak analitycznej dziedzinie może wydawać się niezwykła. W praktyce młody wiek wręcz sprzyja rozwiązywaniu łamigłówek – jednymi z najlepszych zawodników są właśnie dzieci. W przypadku gdańszczanina wszystko zaczęło się bardzo wcześnie, dzięki rodzeństwu i rodzicom.

– Kiedy masz 3-4 lata, a twoje dużo starsze rodzeństwo czymś się pasjonuje, zarażasz się tym jak wirusem. Tak było w przypadku Teodora. Najpierw przyglądał się, jak kostkę Rubika układają jego brat Stefan i siostra Ada. Kolejnym etapem było układanie łamigłówek po kilku ruchach pomieszczenia – opowiada Mateusz Zajder, ojciec Teodora.

Już w wieku czterech lat – według relacji rodziców – Teodor potrafił rozwiązać kostkę, a algorytmów uczył się od brata. Rodzina od początku była świadoma, że może zająć daleko i nie trzeba było długo czekać na pierwsze rekordy.

– To był moment, w którym odkryliśmy ogromny potencjał naszego najmłodszego syna. Dla niego wszystko było czystą zabawą – dodaje Mateusz Zajder. – Jako sześciolatek regularnie pojawiał się już na zawodach. W tamtym czasie razem z bratem Stefanem rozpracowywał kostkę 2x2x2. Historyczna chwila przyszła na zawodach w Warszawie w 2023 roku, gdzie siedmioletni Teodor Zajder ustanowił rekord świata w tej konkurencji, rozwiązując kostkę w 0,43 sekundy – w pojedynczym ułożeniu (tzw. singlu). Dla Polski i świata był to szok, ale dla nas – moment, którego się spodziewaliśmy. Teoś niejednokrotnie uzyskiwał takie czasy w domu, więc było kwestią czasu, aż stanie się to na oficjalnych zawodach.

Dziś młody Teodor jest już zawodnikiem na poziomie profesjonalnym, dla którego rekordy stają się normą. Nic jednak nie przychodzi samo – rodzice podkreślają, że mimo młodego wieku wykazuje cechy sportowca.

– Trenuje regularnie. Zazwyczaj wystarczą trzy, cztery godziny dziennie, choć czasem trening jest intensywniejszy. Regularnie jeździ też na zawody, około dwudziestu razy w roku. Po sezonie przychodzi czas na odpoczynek. Wtedy gra w szachy.

Teodor Zajder nie skończył jeszcze 10 lat, a ma już na koncie wiele sukcesów. W dorobku ma wicemistrzostwo i dwukrotne mistrzostwo Polski oraz mistrzostwo Europy w konkurencji 2x2x2, a także medale w głównej konkurencji 3x3x3 – m.in. brązowy medal mistrzostw Polski 2024 i srebrny mistrzostw Polski 2025. Łącznie zdobył już 130 medali.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Chciał upamiętnić zabitych sportowców. Został zdyskwalifikowany za kask

Adam Kieler
Mediolan

Ukraiński olimpijczyk Władysław Heraskewycz chciał wystąpić na igrzyskach w kasku, który upamiętniał 24 sportowców z jego ojczyzny, którzy zginęli z powodu rosyjskiej inwazji.

27-letni ukraiński skeletonista Władysław Heraskewycz zamierzał wystąpić w tzw. Kasku Pamięci. Upamiętnia na nim 24 sportowców, którzy zginęli w wyniku rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Przeciwny takiemu pomysłowi był Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Jego przedstawiciel, Toshi Tsurunaga, który jest łącznikiem MKOI-u z reprezentacjami i sportowcami, powiedział, że kask łamie art. 50 Karty Olimpijskiej, który zawiera „zakaz wszelkiego rodzaju demonstracji lub propagandy politycznej, religijnej albo rasowej na obiektach olimpijskich i w innych miejscach”.

Sportowiec odrzucił te zarzuty. Jak powiedział przed startem w czwartek, 12 stycz-

nia, nie chciał żadnego skandalu, ale MKOI zachował się w sposób dyskryminacyjny. Wezwał też Komitet do wycofania swej decyzji.

– Oto moja propozycja, by zakończyć ten skandal: zdjęć zakaz używania Kasku Pamięci, przeprosić za wywieraną na mnie przez ostatnie dni presję, a jako znak solidarności z Ukrainą dostarczyć generatory prądu do ukraińskich ośrodków sportu, które cierpią z powodu codziennych ostrzeżeń – mówił.

Argumentacja ukraińskiego sportowca nie trafiła do MKOI-u, a Ukrainiec nie został dopuszczony do startu.

Heraskewycz skomentował to krótko: „To jest cena za naszą godność” – napisał na X.



Ukraiński skeletonista Władysław Heraskewycz

Tysiące osób bez ogrzewania i wody po rosyjskim ataku

oprac. Anna Nagel
Kijów

Prawie 2,6 tysiąca budynków mieszkalnych w Kijowie pozostało bez ogrzewania, a 300 tys. osób w Odessie bez dostaw wody w wyniku rosyjskich ataków – podały wczoraj ukraińskie władze.

Rosjanie ostrzelali w nocy z 11 na 12 lutego Ukrainę 25 rakietami i 219 dronami, uszkodzono infrastrukturę energetyczną.

„Po zmasowanym nocnym ataku, w wyniku uszkodzenia obiektów infrastruktury krytycznej, które były celem wroga, bez ogrzewania pozostało kolejnych prawie 2600 budynków mieszkalnych w stolicy. Są to budynki wielopiętrowe, zarówno na lewym, jak i na prawym brzegu Dniepru” – poinformował mer Kijowa Witalij Kliczko w komunikatorze Telegram.

Szef stołecznej administracji zapewnił, że służby komunalne pracują nad przywróceniem dostaw ciepła do tych budynków.



Zniszczenia spowodowane rosyjskim atakiem dronowym w Odessie. W wyniku uderzenia drona Shahed uszkodzone zostały budynki mieszkalne i sklepy

Wicepremier ds. odbudowy Ukrainy Ołeksij Kułeba powiadomił, że w Odessie, na południu kraju, z powodu braku zasilania bez dostaw wody pozostaje około 300 tys. osób, a bez ogrzewania prawie 200 budynków. Dodał, że w Dnieprze w wyniku zmasowanego ataku wstrzymano dostawy ciepła dla 10 tys. odbiorców.

W obwodzie odeskim wojska rosyjskie uszkodziły kolejną podstawę energetycznej spółki DTEK. „Zniszczenia są poważne. Naprawa, w celu przywrócenia urządzenia do stanu używalności, będzie wymagała dużo czasu. Obecnie pracujemy na miejscu, usuwamy gruz. Zrobimy wszystko, co możliwe, aby jak najszybciej zlikwidować skutki ataku”

– czytamy w oświadczeniu DTEK.

DTEK przypominała, że to jedenasty zmasowany atak na elektrownie ciepłe firmy od października 2025 r. „Elektrownie ciepłe DTEK były atakowane przez wroga ponad 220 razy od początku wojny na pełną skalę” – podkreślono.

Szef obwodowej administracji wojskowej Ołeksandr Hanża powiadomił, że liczba rannych w wyniku zmasowanego nocnego ataku rakietowego i dronowego na Dniepr i okolice tego miasta wzrosła do czterech. Wśród poszkodowanych są dzieci.

Siły Powietrzne podały, że w nocy ze środy na czwartek Rosja zaatakowała Ukrainę 24 rakietami balistycznymi Iskander-M/S-300, kierowanym pociskiem rakietowym Ch-59/69, a także 219 bezałogowymi statkami powietrznymi.

Obrona przeciwlotnicza zestrzeliła 213 celów powietrznych i odnotowała trafienia dziewięciu rakiet i 19 dronów w 13 lokalizacjach.

PAP

Wiceminister zdrowia: Do końca marca przedstawimy finalny model Centrów Zdrowia Psychicznego

oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

Wiceminister zdrowia Katarzyna Kęcka poinformowała w Sejmie, że resort zdrowia do końca marca przedstawi finalny model Centrów Zdrowia Psychicznego.

Wiceminister zdrowia poinformowała, że do końca marca MZ przedstawi, w jaki sposób pilotaż może stać się „częścią krajoobrazu systemu ochrony zdrowia”. Podkreśliła, że resort zdrowia chce testowane podczas pilotażu rozwiązania wdrożyć na stałe. – Do końca marca zostanie wybrany docelowy model,

do końca marca go przedstawimy – zaznaczyła.

Kęcka powiedziała, że jedną przeszkodą, aby opublikować efekty pilotażu CZP, jest brak wskaźników jakościowych, które nie zostały w pilotażu zawarte. Podkreśliła, że dostępne są wszystkie dane ekonomiczne dotyczące opieki nad pacjentami oraz o liczbie hospitalizacji.

Kęcka poinformowała, że w ramach pilotażu działa obecnie 117 Centrów Zdrowia Psychicznego, które obejmują ponad 50 procent kraju. Pilotaż Centrów Zdrowia Psychicznego rozpoczął się w 2018 r. Był kilkukrotnie przedłużany – ostatnio do 31 grudnia 2026 r.

Najwyższa Izba Kontroli wykazała w 2024 roku problemy organizacyjne części placówek CZP z województwa wielkopolskiego, których działalność sprawdziła.

CZP skupiają się na opiece zorganizowanej blisko pacjenta w mniejszych ośrodkach pomocy medycznej, zapobieganiu kryzysom psychicznym, a gdy do nich dojdzie – na szybkim przywróceniu do równowagi.

W takich placówkach do roli pacjenci mogą korzystać ze wszystkich rodzajów świadczeń dziennych, ambulatoryjnych, stacjonarnych, a główny nacisk kładzie się na opiekę środowiskową. PAP

Express
BYDGOSKI
www.express.bydgoski.pl

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Redaktor naczelna Alicja Polewska
Prezes Makroregionu Marek Ciesielski
Dyrektor biura reklamy oddziału Agnieszka Perlińska
Dyrektor marketingu oddziału Katarzyna Jabłońska

Prezes Zarządu Polska Press Grupy Zenon Nowak
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Dyrektor artystyczny Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskappress.pl, tel. 12 688 85 10

Redakcja, ul. Zamoyckiego 2, 85-063 Bydgoszcz
tel. 52 32 63 100
redakcja@express.bydgoski.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229



REKLAMA

0011477304



WÓJT GMINY BRENNA

ogłasza

drugi pisemny nieograniczony przetarg na sprzedaż

nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w **Górkach Wielkich**, oznaczonej jako działka nr **1157/37**, o powierzchni **2968 m²**, objętej księgą wieczystą **BB1C/00051517/7**.

Działka w przeważającej części przeznaczona jest pod zabudowę mieszkaniową jednorodzinną (A134MN1), a częściowo pod drogę wewnętrzną (A14KDW), zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego Gminy Brenna.

Cena wywoławcza: **504.560,00 zł netto**. Do wylicytowanej ceny sprzedaży zostanie doliczony podatek VAT na podstawie art. 41 ust. 1 w związku z art. 146a ust. 1 pkt 1 ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz. U. z 2024 r. poz. 361 z późn. zm.).

Wadium: **50.456,00 zł**, wpłacane na konto Gminy Brenna nr 49 8111 0009 2001 0036 9950 0004 w Beskidzkim Banku Spółdzielczym o/Bielsko-Biała, najpóźniej **do 14 kwietnia 2026 r. do godz. 14:00**.

Pisemne oferty należy składać w Biurze Podawczym – sekretariacie Urzędu Gminy Brenna, ul. Wyzwolenia 77, **do 14 kwietnia 2026 r. do godz. 14:00**.

Część jawna przetargu odbędzie się **20 kwietnia 2026 r. o godz. 9:00** w sali sesyjnej Urzędu Gminy Brenna (II piętro).

Szczegółowe informacje dostępne są w Urzędzie Gminy Brenna, pok. 23 (II piętro), tel. 33 85 36 222 wew. 223, oraz na stronach: bip.brenna.org.pl i www.brenna.org.pl.

DROBNE

Praca

ZATRUDNIĘ

OCHRONA z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

SERWIS sprząający z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

ZATRUDNIĘ murarzy i na wykończenie wnętrz tel. 606 432 661

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński- chirurg choroby jelita grubego, choroba hemoroidalna, 602298213, 60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA” tel. 52/372-04-04

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIE ciągnik, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski przetargi

nasze komunikaty.pl

REKLAMA

0011471230

Zielń Miejska Zakład Pogrzebowy

UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

0011477816

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 9 lutego 2026 roku odeszła od nas moja ukochana Żona, nasza kochana Mama, Babcia, Teściowa, Siostra, Szwagierka, Ciocia i Kuzynka

ś†p

Halina Trzaskowska

Lat 72

Msza św. pogrzebowa, poprzedzona różańcem, zostanie odprawiona we wtorek, 17 lutego 2026 roku o godz. 10:00 w kaplicy na cmentarzu parafialnym pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Po Mszy św. odprowadzimy Śp. Halinę na miejsce wiecznego spoczynku.

W smutku pogrążona

Rodzina

0011477987

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 10.02. 2026 r. odszedł od nas ukochany Mąż, Tata, Teść i Dziadek

ś†p

Henryk Karsznia

lat 92

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się Mszą Świętą we wtorek 17.02.2026 roku o godz. 13.00 w kaplicy na cmentarzu parafialnym Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ul. Rynkowskiej 5 w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona

Rodzina

0011478462

Pani Beacie Papinie oraz Jej najbliższej Rodzinie wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Męża

składają

Zarząd oraz Pracownicy METALKO Sp. z o.o. w Bydgoszczy

0011478404

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 8.02.2026 r. odeszła od nas nasza kochana Mama, Teściowa, Babcia, Prababcia i Ciocia

ś†p

Krystyna Kudlińska

lat 92

Pogrzeb wraz z mszą św. żałobną odbędzie się dnia 14.02.2026 r. o godz. 9.30 na cmentarzu Nowofarnym przy ul. Artyleryjskiej.

Pogrążona w smutku

Rodzina

0011478413

Z sercem pełnym bólu i smutku zawiadamiamy, że dnia 10.02.2026 r. odeszła od nas nasza kochana Żona, Mama, Teściowa, Babcia i Prababcia

ś†p

Elżbieta Walentowska

z domu Tomaszewska lat 86

Pogrzeb wraz z mszą św. żałobną odbędzie się dnia 16.02.2026 r. o godz. 13.30 na cmentarzu parafialnym przy Al. Kardynała Stefana Wyszyńskiego – Bielawki.

W żalu pogrążona

Rodzina

0011478978

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ś†p

Roberta Sycha

Naszego Kolegi oraz Radnego Rady Miasta Bydgoszczy w latach 2006-2010. Robert był życzliwym i oddanym Człowiekiem, który z zaangażowaniem działał na rzecz lokalnej społeczności.

Rodzinie oraz Najbliższym składamy najszczerze wyrazy współczucia i wsparcia w tym bolesnym czasie.

Eukasz Schreiber Poseł na Sejm RP

Kosma Złotowski Poseł do Parlamentu Europejskiego

AUTOPROMOCJA

0310733296

Zleć nekrologi, ogłoszenia drobne, życzenia

Biuro ogłoszeń Expressu Bydgoskiego:
Bydgoszcz, czynne: pn.-pt. 8-16,
ul. Zamoyckiego 2,
tel. 519 503 513,
e-mail: magdalena.welka@polskapress.pl

ROZWIĄZANIE: JAKO PIERWSZY ZRODZIŁ SIĘ CHAOS.

SPORT

www.sportowy24.pl

Anioły muszą wygrywać,
by gonić GKS Katowice.
Pałacanki i trudne rywalki

Dariusz Knopik

dariusz.knopik@polskapress.pl

SIATKÓWKA. W 23. kolejce PLS 1. Ligi CUK Anioły Toruń zagrają na wyjeździe. Rywalem będzie Avia Świdnik. Z kolei Metalkas Pałac Bydgoszcz w 17. serii Tauron Ligi podejmie Budowlane Łódź.

Po dwóch ostatnich pięciosetówkach ze Spartą Grodzisk Mazowiecki i BKS Bydgoszcz toruńscy siatkarze spadli na drugie miejsce w tabeli. Ich strata do prowadzącego GKS Katowice wzrosła do czterech punktów przy jednym meczu rozegranym mniej. Z kolei za Aniołami czai się Stal Nysa, która ma o trzy „oczka” mniej niż toruńska drużyna.

Avia to aktualnie ósmy zespół w stawce. Ekipa ze Świdnika gra w kratkę i dobre mecze przeplata słabszymi.

Spotkanie w sobotę o godz. 17. Bydgoszczanie mecz w tej kolejce z SMS PZPS Spała rozegrają 25 lutego.

KH Energa wraca do gry,
jest kolejny kontrakt

Joachim Przybył

joachim.przybyl@polskapress.pl

HOKEJ. KH Energa Toruń wraca do gry o punkty w Tauron Hokej Lidze. Robert Arrak zostaje na kolejny sezon!

Do zakończenia rundy zasadniczej zostały tylko cztery mecze. Matematycznie KH Energa może jeszcze awansować na piąte miejsce kosztem JKH GKS Jastrzębie. Tak czy inaczej, na pewno nie zagra w ćwierćfinale z tym zespołem, co miało miejsce w poprzednich sezonach. Rywala poznamy dopiero po zakończeniu sezonu zasadniczego, gdy czołowa czwórka Tauron Hokej Ligi będzie sobie wybierać przeciwników w ćwierćfinale. W tej chwili te cztery zespoły dzielą w tabeli zaledwie cztery punkty, więc wszystko jest możliwe.

Z kolei w Tauron Lidze Metalkas Pałac Bydgoszcz w niedzielę o godz. 20 podejmie Budowlane Łódź. W Łęczniczce pojawi się drugi zespół z ligowej stawki, opromieniony zdobyciem Pucharu Polski w ostatnią niedzielę.

Bydgoszczanki, które zajmują siódme miejsce w tabeli, czeka ciężkie zadanie. Pałacanki ciągle nie są pewne miejsca w ośsemce i prawa gry w play off. Na dziewiątą Stalą Mielec mają tylko dwa punkty przewagi. Z kolei do szóstego Chemika Police tracą także dwa „oczka”. Końcówka sezonu zasadniczego zapowiada się pasjonująco. Do jego zakończenia pozostało sześć kolejek.

Sokół & Hagric Mogilno, który zajmuje 10. lokatę z dorobkiem 14 pkt. swój mecz w tej serii gier rozegra w poniedziałek o godz. 20 na wyjeździe z Radomką Radom. W czwartkowy wieczór Sokół grał u siebie awansem z 19. kolejki z Developresem Rzeszów. Szczegóły na naszej stronie internetowej. ©©

KH Energa w piątek o godz. 19.00 zagra na wyjeździe z walczącym o fotel lidera Zagłębiem Sosnowiec. W niedzielę emocje na Tor-Torze i starcie z czwartym w tabeli GKS Katowice (17.00). Torunianie ostatnie mecze z tymi drużynami przegrywali na własnym lodowisku po 2:3, z GKS jednak po dogrywce.

Toruński klub przygotowuje się do play off, ale jednocześnie pracuje nad przyszłością. Zostaje na kolejny sezon Robert Arrak, jeden z najsukuteczniejszych napastników KH Energa. Estończyk w 33 dotychczasowych meczach tego sezonu zaliczył 13 goli i 20 asyst.

Kontrakt na trzy sezony podpisał Michał Cybulski. Pochodzący z Poznania hokeista trzy lata temu dołączył do MKS Sołków, a w tym sezonie zadebiutował w pierwszej drużynie, dołądził do 16 spotkań. ©©

PIĘKA NOŻNA

Czas na kolejne sparingowe granie

Zespoły drugoligowe i trzecioligowe z regionu kujawsko-pomorskiego w weekend rozegrają kolejne mecze sparingowe. Oto plan: Warta Poznań - Elana Toruń (piątek, godz. 12.30), Olimpia Grudziądz - Noteć Czarnków (sobota, godz. 12), Wda Świecie - Concordia Elbląg (sobota, godz. 12, boisko przy ul. Sienkiewicza), Lider Warszawa - Tłuchowia Tłuchowo (sobota, godz. 12), Legia II Warszawa - Zawisza Bydgoszcz (sobota, godz. 14).

KRÓTKO



FOT. JAROSŁAW PABJAN

ŻUŻEL

Beau Bailey już w Grudziądzu

Młody zawodnik zameldował się w swoim nowym klubie. - Nasz Australijczyk dotarł do Grudziądza, gdzie zamieszka na czas sezonu. Beau jest podniekowany czekającym go pierwszym sezonem w Europie. Już w poniedziałek uda się na zgrupowanie drużyny do Hiszpanii - przekazał GKM. Bailey ma dopiero 16 lat, ale uznawany jest za zawodnika z dużym potencjałem i możliwościami. Na koncie ma m.in. srebrny i brązowy medal w cyklu SGP 3 (2024 i 2025), gdzie rywalizował m.in. z Maksymilianem Pawełczakiem. Ten ostatni w ubiegłym roku z powodzeniem zadebiutował w polskiej Metalkas 2. Ekstralidze. Bailey ma szansę wyjechać w tym roku na ekstraligowe tory. Póki co, do Grudziądza przyjeżdża po naukę. - Jako trener kadry 250 ccm oglądałem go od dwóch lat w mistrzostwach świata, obserwowałem na campie w Toruniu. To największy talent w swoim pokoleniu w Australii. Zapewnimy mu dobry sprzęt i jego zadaniem jest dalszy rozwój i zbieranie doświadczenia - mówił o nim Robert Kościecha. Nie wyklucza jednak, że Australijczyk może już w tym roku dołączyć do skład pierwszej drużyny, albo zostać wypożyczony. - Chciałbym, żeby spokojnie wszedł do drużyny. Kontrakt ma dwuletni, ma więc jeszcze czas. Zobaczymy, co z niego przyniesie - dodał Kościecha. (m)

LOTTO

ŚRODA, 11.02

Multi Multi, godz. 22.00

10, [13], 22, 26, 30, 33, 34, 36, 37, 39, 47, 50, 54, 55, 57, 63, 65, 68, 76, 77

Kaskada, godz. 22.00

1, 2, 3, 4, 8, 11, 14, 15, 17, 19, 21, 22

Mini Lotto, 15, 21, 32, 37

Ekstra Pensja, 1, 17, 24, 26, 27 - 3

Ekstra Premia, 7, 16, 21, 27, 29 - 3

CZWARTEK, 12.02

Multi Multi, godz. 14.00

11, 22, 27, 28, 32, 34, 35, 37, 38, 43, [51], 53, 54, 55, 60, 61, 63, 65, 70, 74

Kaskada, godz. 14.00

3, 5, 7, 10, 11, 12, 16, 18, 19, 20, 21, 22

Ekonomiczne Pierniki.
Posiłków nie będzie

FOT. SŁAWOMIR KOWALSKI

Celem Arrivy Lotto Toruń w tym sezonie jest utrzymanie w ekstraklasie

Joachim Przybył

joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Arriva Lotto jest jednym z ostatnich klubów z tylko pięcioma obcokrajowcami w składzie, a teraz jeszcze stracił Pawła Sowińskiego. Czy będzie reakcja i transfer?

Dwa zwycięstwa w sześciu meczach - to bilans Twardych Pierników w 2026 roku. Dopiero w starciu domowym ze Startem Lublin torunianie zdołali przebrać passę czterech porażek z rzędu. *Nie ma żadnych wątpliwości, że szanse na jedno lub dodatkowe zwycięstwa byłyby większe, gdyby dołączył do drużyny jeden zawodnik zagraniczny. Arriva Lotto jest jednym z dwóch klubów w Orlen Basket Lidze, które jeszcze nie wykupiły szóstej licencji. Powód? Nie w kasie 100 tysięcy złotych, bo tyle kosztuje prawo zatrudnienia szóstego obcokrajowca.

Prawda jest taka, że Twarde Pierniki mają w tej chwili zapewne najniższy budżet na drużynę w lidze, nawet beniaminek z Krosna ostatnio więcej wydaje na nowych zawodników.

- W sporcie nie obowiązuje słowo „na pewno”, ale na dziś nie zakładamy wzmocnień. Nie mamy w budżecie środków na dodatkową licencję, co nie znaczy, że w przyszłości ta sytuacja się nie zmieni - przyznaje prezes Piotr Barański.

Srdjan Subotić nie ukrywa, że chętnie poszerzyłby rotację swojej drużyny. Szkoleniowiec liczył,

że szóstym obcokrajowcem zostanie Miha Lapornik, ale w klubie nie znalazły się pieniądze i Słoweniec wrócił do II ligi hiszpańskiej. - To była wyłącznie decyzja finansowa, a nie sportowa - przyznaje Subotić.

Teraz jeszcze sytuacją komplikuje kontuzja Pawła Sowińskiego, który był istotnym elementem w rotacji Twardych Pierników. Mniejszym zaufaniem szkoleniowca cieszy się Hubert Lipiński, więc Subotić w ostatnich meczach korzysta praktycznie tylko z ośmiu graczy.

- Energia, zaangażowanie i twardość w obronie Pawła bardzo nam pomagały, w ostatnich meczach był dla nas coraz ważniejszy, bardzo także pomagał na treningach. Chciałbym wzmocnień, ale rozumiem też sytuację klubu. Staram się pracować jak najlepiej z zespołem, jaki mam do dyspozycji i wykorzystywać możliwości, jakie mamy. Liczę, że pozostali gracze dadzą z siebie jeszcze więcej w kolejnych meczach - mówi trener Twardych Pierników.

Torunianie słabym styczniem i czterema kolejnymi porażkami mocno ograniczyli swoje szanse na coś więcej niż utrzymanie. Tym bardziej, że ruch w interesie spory i niemal wszyscy bezpośredni rywale wzmocniają się lub wymieniają słabsze ogniwa.

- Chcielibyśmy iść w górę tabeli, ale realia są takie, że walczymy o utrzymanie. Bardzo ważne dla nas jest zachowanie przewagi nad zespołami z dołu tabeli. Gliwice i Krosno zainwe-

TENIS STOŁOWY

Toruńskie ekipy najlepsze

W Chełmnie i Toruniu rozegrano wojewódzkie finały Pucharu Polski. Wśród kobiet i mężczyzn wygrały ekipy KTS Energa Toruń, co zapewniło awans do półfinału szczebla centralnego. (szcz)

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Noteć za cztery punkty

W I lidze niezwykle ważny mecz zagra Qemetica Noteć Inowrocław, która w sobotę o godz. 18.00 zmierzy się w Katowicach z Miners. To jeden z bezpośrednich rywali ekipy Krzysztofa Szubargi w walce o utrzymanie. Enea Abramczyk Astoria w niedzielę o godz. 18.00 podejmie Kotwicę Kołobrzeg.

Odliczanie do play off

W Orlen Basket Lidze zostały już tylko trzy kolejki do końca sezonu zasadniczego. Energa Toruń w sobotę o godz. 16.00 zagra w Krakowie z Wisłą, zwycięstwo praktycznie przypieczętuje awans „Katarzynek” do play off i bardzo je zbliży do szóstego miejsca. Za to dla Artego to ostatni dzwonek, aby jeszcze w ogóle liczyć się w grze o ośsemkę. Bydgoszczanki w sobotę o godz. 18.00 podejmą Zagłębie Sosnowiec. ©©

IGRZYSKA OLIMPIJSKIE HUŚTAWKA NASTROJÓW W NASZEJ EKIPIE PODCZAS ZAWODÓW W MEDIOLANIE I CORTINIE

Wielki niedosyt i miła niespodzianka

Jacek Kmieciak
redakcja@polskaiexpress.pl

Panczenista Damian Żurek zajął czwarte miejsce na 1000 m, a saneczkarki Nikola Domowicz i Dominika Piwkowska uplasowały się na szóstej pozycji Zimowych Igrzysk Olimpijskich 2026.

Ze startem Damiana Żurka wiązano uzasadnione nadzieje. W ostatnich przed igrzyskami zawodach Pucharu Świata, pod koniec stycznia w niemieckim Inzell, był drugi na 1000 m, a na 500 m wygrał dwukrotnie, pokonując faworyzowanego Amerykanina Jordana Stolza. W klasyfikacji generalnej Pucharu Świata zajął na obu dystansach drugie lokaty. Już w Mediolanie 26-letni panczenista zapewniał, że jest bardzo dobrze przygotowany, co w srode potwierdził, jednak bez efektu medalowego.

Zwyciężył Stolz, bijąc rekord olimpijski wynikiem 1.06,28. Srebrny medal przypadł jadącemu w parze Amerykaninem Holendrowi Jenningsowi de



FOT. EPA/PAP

Jeden z największych faworytów w reprezentacji Polski, panczenista Damian Żurek, przegrał walkę o medal na dystansie 1000 metrów o 0,07 sekundy

Boo, który przegrał ze Stolzem o pół sekundy. Brąz wywalczył Chińczyk Zhongyan Ning.

Żurkowi, który ścigał się z Estończykiem Martenem Liiwem w ostatniej, piętnastej parze zawodów, do medalu zabrakło zaledwie 0,07 sekundy. W zasadzie to jedynie czubek płoży w panczenie.

- Niemalże idealny bieg, oprócz prostej krzyżówkowej, gdzie miałem zbyt dużą prędkość. Brakowało mi tej drugiej osoby, żeby się pościgać. Gdybym jechał z Jenningsiem albo z Jordanem, byłoby mi lepiej, a tak musiałem jedno odbicie opuścić, żeby się nie zderzyć płozami, a to było na wejściu

w wiraż. Ale biorę to na klatę - skomentował swój występ Żurek.

W hali lodowej w Mediolanie nie obyło się bez kontrowersji. Holender Joep Wennemars, któremu przeszkodził w biegu rywal z Chin Lian Ziwen, powtarzał swój start, ale nie poprawił wyniku, zajmując osta-

tecnie piątą pozycję. Na potknięciu Wennemarsa skorzystał... inny Chińczyk Zhongyan Ning, który sięgnął po brązowy medal.

Również Piotr Michalski został wytrącony z rytmu, gdy drogę zajął mu Austriak Gabriel Odor, później zdyskwalifikowany. Polak musiał zwolnić, wyprostował się i w końcówce praktycznie już nie walczył. Nie zdecydował się jednak na powtórny start, kończąc zmagania na 25. miejscu. Trzeci z Biało-Czerwonych, Marek Kania, był 23.

Szef Polskiej Misji Olimpijskiej Konrad Niedźwiedzki, medalista igrzysk w łyżwiarstwie szybkim, zdaje sobie sprawę, że po zajęciu czwartego miejsca Żurek musi odczuwać gorycz. Niedźwiedzki podkreślił, że szkoda mu nie tylko medalu, ale i spokoju, jaki Żurek zyskałby przed sobotnim startem na 500 m.

- Można już byłoby spać spokojnie i cieszyć się „pięćsetką” bez stresu. Natomiast czasem sukces rodzi się w bólach. Damian zrobił wszystko

dobrze, trafił jednak w parze na najwolniejszego zawodnika z czołówki, na co nie mamy wpływu. Jeśli gdzieś miałbym upatrywać tych siedmiu setnych sekundy, to właśnie w tym - analizował sekretarz generalny Polskiego Związku Łyżwiarstwa Szybkiego.

Mało kto spodziewał się tak udanego występu saneczkarek na torze w Cortina d'Ampezzo. Natalia Domowicz i Dominika Piwkowska, ósme po pierwszym ślizgu, w drugim pojechały świetnie i przesunęły się o dwie lokaty. To najlepszy wynik polskich sanek od igrzysk w Sapporo w 1972 r., gdzie w dwójkach Mirosław Więckowski i Wojciech Kubik zajęli piąte miejsce, a w jedynkach Wiesława Martyka i Halina Kanasz ex aequo szóste.

Zawodniczki UKS Nowiny Wielkie pierwsze próby odbywały na czymś, co było krótką zjeżdżalnią, a wciąż jeżdżały na dziewięcioletnich sankach. Ich start wywołał ogrom emocji - już po dojechaniu do mety płakały ze szczęścia.

©@

AKCJA SPECJALNA PUCHARU TYMBARK

0011478038

Przedłużono zapisy do XXVI edycji Pucharu Tymbark - zawalcz o piłkarskie marzenia

Zapisy do XXVI edycji Pucharu Tymbark zostały przedłużone. Do 19 lutego drużyny dziewcząt i chłopców z całej Polski mogą zgłaszać swój udział w rozgrywkach. Na uczestników czekają wyjątkowe nagrody - spotkanie z reprezentacją Polski oraz możliwość gry na jednym z największych stadionów w kraju.

Przedłużenie zapisów ma na celu umożliwienie jak największej liczbie uczniów udziału w sportowej przygodzie i doświadczenia wyjątkowej atmosfery ogólnopolskich rozgrywek. - Przedłużenie zapisów do XXVI edycji Pucharu Tymbark to szansa dla kolejnych drużyn dziewcząt i chłopców na udział w turnieju i spełnienie piłkarskich marzeń. To turniej, który łączy lokalne społeczności, zachęca do aktywności fizycznej i pokazuje, że w piłkę może grać każdy - niezależnie od miejsca zamieszkania czy wcześniejszych doświadczeń sportowych - podkreśla Tomasz Garbowski, wiceprezes PZPN ds. piłkarstwa amatorskiego.

- Dla każdego z młodych piłkarzy i piłkarek to może być początek pięknej przygody w piłce nożnej. To szansa, którą warto, a nawet trzeba wykorzystać. W czasach mojej młodości mo-

gliśmy tylko pomarzyć o takich inicjatywach - mówi Jan Urban, selekcjoner reprezentacji Polski mężczyzn.

Puchar Tymbark czeka na Twoją drużynę - aż do 19 lutego!

Puchar Tymbark to największy w Europie turniej piłkarski dla dzieci. Sponsorem głównym rozgrywek od 2007 r. jest marka Tymbark. W XXV edycji Pucharu Tymbark etapy regionalne objęły swoim zasięgiem wszystkie powiaty w Polsce. W turnieju mogą uczestniczyć przedszkolne i szkolne drużyny dziewcząt i chłopców w trzech kategoriach wiekowych: U-8, U-10 i U-12. Dodatkowo, szkoły z mniejszych miejscowości mogą połączyć siły: jeśli wybrane placówki z jednej gminy łącznie liczą nie więcej niż 350 uczniów w rocznikach 2014-2019. Zgłoszenia do XXVI edycji Pucharu Tymbark przyjmowane są do 19 lutego poprzez formularz dostępny na stronie www.puchartymbark.pl, gdzie dostępny będzie również szczegółowy harmonogram rozgrywek. Drużyny mogą zgłaszać nauczyciele (m.in. przedszkolni, wczesnoszkolni i wychowania fizycznego), rodzice (za zgodą dyrektora szkoły) i trenerzy. Rywalizacja toczy się w oddzielnych kategoriach dla dziewcząt i chłopców, z możliwością two-



FOT. LUKASZ GROCHALA/CTFRASPORT

żenia zespołów mieszanych, w których dziewczynki mogą dołączać do drużyn chłopców. W kategoriach U-10 i U-12 dopuszczony jest także udział maksymalnie dwóch zawodników z młodszych roczników. Drużyny w kategorii U-8 mogą liczyć od 5 do 10 zawodników, natomiast w kategoriach U-10 i U-12 - od 6 do 10.

Niezapomniane nagrody

Na uczestników czekają nie tylko sportowe emocje, ale także nagrody i wyjątkowe doświadczenia. Każdy uczestnik Pucharu Tymbark otrzyma pamiątkowy medal i dyplom, a nauczyciel - certyfikat potwierdzający zaangażowanie w promowanie aktywności fizycznej oraz pamiątkową koszulkę. Zwycięzcy

Finału Ogólnopolskiego spotkania się z reprezentantami Polski, będą kibicować Biało-Czerwonym w meczu na żywo oraz wezmą udział w treningu prowadzonym pod okiem selekcjonerów kadr młodzieżowych. - Miałem okazję siedzieć już po drugiej stronie stołu i odpowiadać na pytania młodych piłkarzy. Dla nas, jako reprezentantów Polski, to także wielkie wydarzenie. Spotykamy się z kandydatami do gry na najwyższym poziomie. Możemy dać im też motywację do dalszego rozwoju, do ciężkiej pracy, która na pewno jest niezbędna, by trafić kiedyś do reprezentacji Polski - mówi Jakub Kamiński, były uczestnik Pucharu Tymbark i reprezentant Polski. - Kto wie, może pośród zwycięzców Pucharu Tymbark znajdu-

ją się kolejni zawodnicy, którzy założą kiedyś koszulkę z orłem na piersi? A może nawet będziemy mieli okazję razem zagrać dla kadry narodowej? To pytania, które zawsze sobie zadaję przy takiej okazji. Trzymam mocno kciuki, aby napisała się kolejna, piękna historia. A to przecież jest możliwe, co pokazuje wiele przykładów. Kilku zawodników występujących teraz w kadrze ma za sobą grę w tym turnieju - dodaje.

Puchar Tymbark

- ambasador kobiecej piłki

Puchar Tymbark od lat realnie wspiera rozwój i popularyzację piłki nożnej wśród dziewcząt. Swoje pierwsze piłkarskie doświadczenia zdobywały w nim m.in. Ewa Pajor, Paulina Dudek i Dominika Grabowska - dziś z powodzeniem reprezentujące Polskę na arenie międzynarodowej. Z roku na rok systematycznie rośnie także liczba uczestniczek turnieju: w poprzedniej edycji dziewczęta stanowiły 24 proc. wszystkich uczestników, co potwierdza rosnącą popularność piłki nożnej wśród młodych zawodniczek.

- Tego typu inicjatywy naprawdę robią różnicę. Co roku coraz więcej drużyn dziewczęcych bierze udział w rozgrywkach. Dzięki temu jeszcze większa



SPORTOWY24

liczba dziewczyn widzi, że piłka nożna to też sport dla nich. Puchar Tymbark daje przestrzeń, żeby spróbować, nabrać pewności siebie i odkryć radość z gry - mówi Dominika Grabowska, była uczestniczka Pucharu Tymbark i reprezentantka Polski. W skład Komitetu Honorowego XXVI edycji Pucharu Tymbark wchodzi Minister Sportu i Turystyki, Minister Edukacji oraz Minister Zdrowia.

Zapisz drużyny!



Jesteśmy tam, gdzie potrzebujesz nas *najbardziej*

ZADBAJ
o swój słuch
już dzisiaj

Chcemy być blisko Ciebie.

Tak, byś każdego dnia mógł być bliżej tych, których kochasz.

Zapraszamy do telefonicznego umówienia się na **bezpłatne badanie słuchu** w najbliższym Centrum Słuchu Audika.

Bez skierowania i bez kolejek.

Mamy **ponad 600 gabinetów** w całej Polsce.

Infolinia: tel. 814 714 004
www.audika.pl

 **Audika**